

P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 7 MARCA 1936 R. * NUMER 10 (127)

TREŚĆ: HENRYK ELZENBERG: Estetyka jako dyscyplina wartościująca *
WŁ. JERZY KASINSKI: Ręce niewidomych * WITOLD CHWAŁEWIK: Kipling
artysta * JÓZEF GOŁĄBEK: Niemiecki antysemityzm * J. PUCIATA-PAWŁOW-
SKA: „Sztuka wnętrza” * STEFAN NAPIERSKI: Wspomnienie o Przysieckim *



ALFRED FEI: Współczesna legenda Marji Stuart * J. D., J. Z.: Publicystyka *
STEFAN BAŁEY, LIDJA WINNICZUKÓWNA: Pedagogja * B. KORZENIEWSKI:
Teatr * W. W. de A.: Sprawy włoskie * W. BĄK: Przegląd prasy * A. CZY-
ZEWSKI: Kronika.

ESTETYKA JAKO DYSCYPLINA WARTOŚCIUJĄCA

W *Wiadomościach Literackich* z 12 stycznia zamieścił p. Stanisław Ossowski obszerny artykuł p. t. *Estetyka i socjologia sztuki*, zalecając w nim socjologię sztuki jako prawą spadkobierczynię estetyki „tradycyjnej” i przeprowadzając w szczególności mocny atak na tę ostatnią dyscyplinę pojętą jako „budowanie systemów wartościujących”. Polemiki z całością jego wywodów, zarówno krytycznych jak programowych, podejmować nie mam powodu, ani wytykać mu błędów w partjach niezwiązanych bezpośrednio z tą jedną kwestją. Wobec tego jednak, że „budowanie systemów wartościujących” uważam za jedną z naczelných, nieodzowných funkcj kultury i nie tylko za jej podstawowy warunek, ale za połowę niemal całej jej treści, pocytuję sobie niejako za obowiązek odeprzeć z punktu to przynajmniej, co w owym ataku nadaje się do odpowiedzi doraźnej. Rzecz nie wydaje mi się zbyt trudna, gdyż tym razem wróg estetyki wartościującej strzelał — niech mi będzie wolno powiedzieć — krótem jakoś wyjątkowo cieniutkim. Jest w tym artykule moc łatwej, mało przekonującej ironji i moc zwykłej, zgoła nie-twórczej, stereotypowej karykatury: „Sztuka przez duże S”, „idealne sfery platońskie”, „karmienie się na codzień nie chlebem jeno ideami”, „metafizyka” w roli diabła na ścianie. To wszystko jest bez znaczenia. Z argumentów zaś właściwych niektóre, trudniejsze lub bardziej złożone, wzmiankowane są tylko w drodze słuźji. Racyj z jednej strony rzeczowych, z drugiej — rozwiniętych na tyle, by można było z nimi podjąć dyskusję, jest, rozumie się samo przez się, też parę: nie wydają się jednak, by mogły być uznane za przytłaczające.

Przedewszystkiem je pokrótce wymienimy. Jedna z nich sprowadza się do uwagi, że estetycy swoją czynność wartościującą traktują jako czynność poznawczą, gdy tymczasem faktycznie „ustalanie wartości estetycznych... jest... zjawiskiem z zakresu raczej działania niż poznawania”. W miejscu, gdzie dałem pierwsze trzy kropki, są u autora wstawione słowa: „tak samo jak ustalanie wartości etycznych”. Zwalnia mnie to od przypomnienia czytelnikowi że, istotnie, teren sporu jest szerszy niż ten, na którym go bezpośrednio postawił autor, i że obejmuje nie tylko uważaną przez wielu za luksusową dziedzinę sądów o pięknie, ale także inne wartościowania, których doniosłość dla życia jest niewątpliwa. To samo uogólnienie dotyczy i dalszych dwóch argumentów, które również, bez żadnej zmiany, mogłyby się odnaleźć w dyskusji poświęconej sprawom etycznym. Są one zresztą między sobą ściśle związane. Pierwszy głosi, że „założenia” estetyki wartościującej — t. zn. jej podstawowe oceny, z których dedukuje się dalsze — „nie mogą być sprawdzane ani pozytywnie ani negatywnie”; drugi, że owe oceny „w ostatecznej instancji opierają się na czyichś autorytetach albo na czyjemś objawieniu estetycznym”. Ma to stwarzać dla estetyki tego typu „analogję ze sferą religij, z budowaniem systemów teologicznych”. I to ma ją ostatecznie kompromitować.

Przechodzę tedy naprzód do kwestji: działanie czy poznawanie?

Swój pogląd, że raczej działanie — to „raczej” zanotujmy z uznaniem jako ostatni ślad ostrożności w tym mocno nieostrożnym wywodzie — wyjaśnia p. Ossowski jak następuje: jeśli „ustalam” wartości, to dlatego że „chcę, aby to a to uchodziło za piękne, chcę aby moi czytelnicy lub moi słuchacze odnosili się do tych oto przedmiotów jako posiadających specjalną war-

tość”. Zdanie to — nawet jeśli pominąć niemale w niem defekty uboczne — musi samą swą treścią główną wywołać sprzeciw stanowczy. Nie żeby nie zawierało nic z prawdy: owszem, chęć podsunęcia bliźniemu określonych przekonań na temat, co jest piękne lub co jest dobre, może być i bywa faktycznie jednym z motywów, dla których nasze oceny ogłaszamy, podajemy do wiadomości. Wydaje się też, że to ogłaszanie, z tą propagandową myślą podjęte, może być, bez wejścia w konflikt z potocznym użyciem wyrazu, uważane za rodzaj działania; chociaż pozostaje pytanie, dla czego miałyby być bardziej „działaniem” niż np. ogłaszanie poglądów naukowych przez uczonoego, który też przecież chce, aby to a to uchodziło za takie a takie i aby jego czytelnicy lub słuchacze odnosili się do tych oto przedmiotów jako posiadających te a te cechy. Ale nie to przedewszystkiem jest ważne. Ważne jest, że p. Ossowski zaniedbał rozróżnić w tekście dwie rzeczy: ową czynność wtórną i dodatkową podawania swych ocen do wiadomości — i właściwą czynność wartościowania. Wszak zanim ktoś swą ocenę ogłosi, musi jej w pierw, sam dla siebie, dokonać, i pytanie o poznawczy charakter aktu dotyczy nie ogłaszania, ale

oceniańia¹ samego. Możliwe że — zwiędżony nie dokładnością użytego terminu „ustalać” — p. Ossowski te dwie rzeczy nie tylko w tekście ale i w myśli pomieszal: w takim razie jego argument jest nieporozumieniem od pierwszej chwili. Możliwe jednak również że, mówiąc o „ustalaniu wartości”, miał rzeczywiście na myśli dokonywanie ocen, wartościowanie; w takim razie sprawa się komplikuje, i z pod tych kilku słów luźno rzuconych wyziera istotnie koncepcja, której zbyć bez przedyskutowania nie można. Twierdzenie bowiem autora sprowadza się wówczas do tego, że kto wartościuje, czyni to tylko, by ktoś dru-

¹ Tu i w tym artykule gdzieindziej używam, wbrew przekonaniu, terminów „wartościowanie” i „oceniańie” tak jakgdyby były synonimami. Nie rozróżnia ich p. Ossowski; ja zaś nie mogę swej odpowiedzi tem komplikować. W terminologii starannej wypadłoby przez „wartościowanie” rozumieć orzekanie, że ta a ta cecha nadaje wartość przedmiotom, które ją posiadają; „oceniańie” zaś byłoby orzekaniem, że ten a ten przedmiot jest wartościowy. Zadaniem estetyka jest wartościowanie, nie zaś ocenianie przedmiotów; i dlatego takie — między innymi — przytoczone wyżej zdanie p. Ossowskiego nie jest bezbłędne.

gi wartościował tak samo; że najprzód jest we mnie chęć, by mój bliźni oceniał tak jak ja każę, a potem sobie na ten użytek stwarzam tę lub inną ocenę. Snując dalej myśl tak nawiązaną, dojdziemy do wniosków następujących. W chwili, gdy estetyk lub moralista formuluje swój sąd o wartości, rzecz, o której mówi, albo istotnie „uchodzi” w jego oczach za wartościową albo nie uchodzi naprawdę, i on sobie to tylko tak opowiada. Jeśli „uchodzi”, to chyba — tego zwrotu o „uchodzeniu” nie mogą rozumieć inaczej — jest on o wartości tej rzeczy „przekonany”, czyli w wartość tę „wierzy”; dokonywa więc — trafnie lub błędnie — aktu o charakterze poznawczym. — i godząc się na tę alternatywę musiałby p. Ossowski bez dalszej walki od swojej tezy odstąpić. By ją móc podtrzymać, musi więc przyjąć, że wartościujący nie wierzy, i twierdzić co następuje: kto wydaje oceny, czyni to poto, by w nie uwierzył ktoś inny, sam jednak wiary tej nie ma. — „A pocóż on w takim razie to robi?” — padnie teraz nieuchronnie pytanie, zdaje się, że dość naturalne. — Poto — będzie brzmiała odpowiedź na terenie estetyki najłatwiejsza (bo w etyce może być bardzo różnie) — by tamtemu narzucić swój sposób czucia, zmusić go, by się tem samem co on, twórca oceny, zachwycał i do tego samego co on miał odrazeć: jest to jedna z form zaborczości psychicznej. — Czemuż jednak zaborca zmierza ku temu tą okrężną jakąś drogą przez wartość, a nie prostą i bezpośrednio przez sugestję, przez zarażanie swym zachwytem lub swą odrzą, przez nacisk i wagę autorytetu? Widocznie brak mu na to kwalifikacyj: nie posiada ani autorytetu, ani siły sugestywnej, ani zdolności zarażania innych ludzi swym uczuciem. A rozpięra go chęć panowania. Próbuje więc w ofiarę swą wzmówić, że jeśli będzie czuła tak właśnie jak on czuje, będzie mieć rację, będzie jakoś obiektywnie w porządku; nie będzie zaś miała racji, jeśli się ośmieli inaczej. I dlatego w służbę swego działania — walki o „rząd dusz” i przodownictwo — wpręga to pojęcie wartości, o którym oczywiście trzeba założyć, że ofiara je zna i rozumie, i funkcję jego normatywną uznaje.

W tem miejscu, mojem zdaniem, cała koncepcja załamuje się beznadziejnie; zanim jednak do wykazania tego przejdziemy, chciałbym uwzględnić inne jeszcze niedomagania, tkwiące u jej samej podstawy.

Godzi się chyba przedewszystkiem powiedzieć, że podany obraz nie odzwierciedla stanu faktycznego we wszystkich ani nawet w szczególnie licznych wypadkach wartościowania. Według tego obrazu cały ów światek ludzi, interesujących się wartościami, dzieliliby się na jakieś łierne stworzenia, które sobie sądy o wartości dają narzucać, i na szeszanych imperjalistów, którzy je wprawiają i narzucają; przyczem, jak z założenia wynika, ci drudzy muszą być oszustami, a pierwsi — ofiarami oszustwa. Faktycznie jest chyba trochę inaczej. W ogromnej większości wypadków każdy z nas wartościuje dlatego, że jest mu to potrzebne na własny, najbardziej osobisty użytek, i ani twórca ocen nie musi widzieć w nich narzędzia przyszłej agresji, ani nietwórczy odbiorca przyjmować ich jak, za przeproszeniem, baran czy cielę. Obaj są prosto ludźmi, którzy szukają; jeden znajduje sam, drugi korzysta z tego co znalazł kto inny; korzysta zaś, bo mu to odpowiada. Uznawać więc tylko ów podział na chcących, by „to a to uchodziło za piękne” i na tych, którzy się temu chętnie poddają, to fałszywy, niemcodyczny i niezgodny z doświadczeniem punkt wyjścia.

RĘCE NIEWIDOMYCH

Iść przed siebie, nie wiedząc, co wyjdzie naprzeciw, —

Taka podróż w nieznaną ciężką jest udręką...

Zerwij te dookolne, nieuchwytne sieci

I wydłuż się, i wydłuż, wyciągnięta ręko!

Pustka, nicieś bezkształtna przecieka przez palce,

Ktore chcą coś z otchłani niczego,

Więc, do chwyty gotowe, w nieustannej walce

Szukają twardej ściany bezpiecznego brzegu.

Gdzieś za rogiem parkanu, czy za domu węglem

Znów się przestrzeń rozlewa, mroczna i zdradliwa.

W toń wciąga, muska ciało tchnieniem niedosięglem.

Falą niewyczuwalną wokolo przepływa.

Bywa czasem, że, idąc już znaną ulicą,

Daremnie szukasz słupa, który zawsze stal tu...

Dłoń błdzi niespokojnie, nim palce rzecz chwyca —

Aby stwierdzić bezradnie odmienność jej kształtu.

Bo rzeczy między sobą wszak kształtem się różnią.

Który ręka troskliwa wydobywa z larwy,

A czego się nie dotknie — to jest da nas próżnią.

Choć mówią nam, że okiem można chwytać... barwy?...

Długo błdzi dłoń w pustce, nim oporu dozna.

Wtedy zdobycz uchwyci, zachłannie obejmie.

Obchwytuje mackami, aż dokładnie pozna

I nowy kształt przedmiotu wreszcie w siebie przejmie.

Powoli go przychodzi dobywać z chaosu,

Części ze sobą łączyć, jakbyś rzeźbił bryłę.

Lecz, gdy ręce opadną w trudzie, lub się wzniosą

Wyżej, niż trzeba, — rzecz się zapada w niebyłe.

Bo świata poznawanie jest Danaid pracą:

Co przez palce przepływie — w nicieś się rozprzęgnie!

Próżny trud i szukanie. Dosyć. Bo i naco?...

Świat ciasny: toć go tyle, co ręką dosięgnie!

WŁADYSŁAW JERZY KASINSKI

K 1669/86/16

WARSZAWA
WISŁA
LUBELSKA

Po drugie warto zaznaczyć, że nawet tak rzecz ujmując, p. Ossowski zbyt jeszcze wyłącza z zakresu wartościowań oryginalnych, a zupełnie pomija odbiorcę. Ten, który przyjmuje wartościowanie podsunęte mu przez drugiego, ten przecież też wartościuje! Nie jest w swym doborze ocen oryginalny, lecz oceny sformułowane przez drugich myśli jako swoje i wypowiada z przekonaniem o ich słuszności; czyżby to już nie było wartościowanie? A przecież u tego człowieka nie płynie ono już z chęci, by jego znowu słuchacze „odnosili się do tych oto przedmiotów jako posiadających specjalną wartość”: nie jest więc ono — właśnie na gruncie koncepcji p. Ossowskiego — działaniem. Jeśli się więc nie ograniczyć do wartościowania *twórczego*, to sama ta koncepcja jest sprzeczna w sobie: głosi, jako twierdzenie powszechne, że wartościować, to działać, a opiera się na założeniu, które tę powszechność wyklucza.

Wróćmy jednak do owego zjawiska wpręgania pojęcia wartości w służbę zabobności imperjalisty, do owego przenoszenia uczuć za pośrednictwem sądów o wartości jako rodzaju intelektualnego ich wehikułu. By cała ta operacja miała jakiś sens, trzeba by, jeśli nie obaj partnerzy, to przynajmniej odbiorca był przekonany, że zachowanie się zgodne z sądem o wartości jest *słuszne*, a niezgodne — pozbawione słuszności. Zanim jeszcze uwierzy tamtemu, że „ten oto przedmiot jest piękny”, musiał odbiorca być przeświadczony, że jeśli ten przedmiot jest piękny, to zachwy nad tym przedmiotem jest „słuszny”, „usprawiedliwiony”, „właściwy”; dla zachwytu natomiast skierowanego na przedmiot pozbawiony wartości miał potępienie jako dla błędu, niewłaściwości i czegoś, czego należy się wstydić. To, o co mu od początku chodziło, to, by tego błędu uniknąć; jest on jednym z tych instynktowych *sui generis* racjonalistów, którym dla ich uczuć — a zresztą w równej mierze dla chęci i dla czynów — potrzebna jest sankcja jakiegoś odpowiednio pojętego „rozumu”. Nie wystarczy mu czuć, chcieć i czynić; zależy mu na tem, by w tem co czuje, by w tem co chce i czyni, *miał rację*, i racji tej szuka w wartościowaniu. Będzie ją miał — tak to sobie przedstawia — gdy wyda trafny sąd o tem, czy przedmiot jest piękny czy nie jest, gdy będzie poprostu to *wiedział*; i jeżeli tak skwapliwie się zgłasza po wartościowanie tamtego, to dlatego, że się tej wiedzy po nim spodziewa. Jest więc w jego przekonaniu — może się myli, ale my tu opiewamy stan jego umysłu — wartościowanie czynnością ponad wszelką wątpliwość poznawczą i o tyle tylko spełnia swą rolę, o ile on je za taką, właśnie za poznawczą, może uważać. Czy jest ona taką istotnie? i czy to nie jest wszystko jego złudzeniem? Tego tu już nie chcę przesądzać; nie mam tu pretensji przynosić jakichś ostatecznych argumentów za faktem, że wartościowanie *istotnie* jest poznaniem, a nie może czemś różnym zarówno od działania jak od poznania. Wydaje mi się natomiast że wykazałem, jak dalece przy założeniach, które przyjął sam p. Ossowski, jesteście pełni w kierunku racjonalnej interpretacji „pозnawczej” i jak dalece nie do przyjęcia jest jego interpretacja „aktywistyczna”.

Jeśli jednak wartościowanie nie ma być rodzajem działania i jeśli się na interpretację poznawczą piszemy choćby z zastrzeżeniami, to — powie nam p. Ossowski — będzie to poznanie dziwnie wątpliwe. „Poznanie”, w najlepszym razie, w sensie tylko psychologicznym: akt poznawczy bez poznawczych *wyników*. Jest bowiem niesprawdzone: to jedno. Ma charakter „objawienia”: to drugie. Jest to zresztą, jak już wspomniałem, jeden tok myśli: wobec niesprawdzoneści swoich założeń, estetyk, jako do ostatecznej instancji, musi uciec się do objawienia. Bezpośrednio do swego własnego czy, pośrednio, do objawienia osoby, która jest dla niego autorytetem: to już stanu rzeczy nie zmienia. Wskazanie, jako na typowe dziedzi, w których „objawienie” panuje, na religię i teologję, dopełnia tej argumentacji i, w związku z znaną eskadą stanowiskiem autora w rzeczach religij, nadaje jej zamierzony odcień bojowy.

Z całą tą jednak przemysłną historją o objawieniu można się, jak mi się zdaje, łatwo uporać. Sam wyraz bywa brany w różnych znaczeniach: w jakimkolwiek go zechcemy rozumieć, nie przeprowadzany atak na tem nie zyska. W religjach ukonstytuowanych „objawienie” to zawsze „objawienie przez kogoś”, „ujawnienie przez istotę wyższą”, „przez czynnik nadprzyrodzony”. Że do takich właśnie objawień pretenduje estetyk, to p. Ossowski zarzuca mu aż nadto wyraźnie przez zwrot o ich „otrzymywaniu” („ludzie, którzy otrzymują objawienia estetyczne”, brzmi to dosłownie). Niestetyk, nie jest to polemika serio. Estetyka nie ma ani ksiąg kanonicznych ani nadprzyrodzonego objawiciela; przy takim więc rozumieniu wyrazu niema wogóle z czem dyskontować. Zostaje tylko zwykłe szyderstwo i, co najwyżej, obliczona na czytelnika usposobionego

nieregijnie a myślowo nieporadnego, próba intelektualnego terroru: jeśli się estetykom dasz zbalamucić, będziesz, synu, jako teologowie. Nad tem więc można przejść do porządku. Wyraz bywa jednak też używany w bardziej neutralnym znaczeniu „oświecającego odkrycia”, jak kiedyś np. się mówi, że gra tego oto aktora była „objawieniem” dla widzów. Otóż co do objawienia w tym sensie niema wątpliwości najmniejszej: każdy godny tego tytułu estetyk wartościujący *ma objawienia*. W pewnych chwilach oświeca go wizja nieprzebranego dotąd odmiann wartości, a wizjom tym towarzyszy zwykły wstrząs doświadczenia i stany uczuciowe dość niecodzienne, by on sam nie mógł wątpić o pokrewieństwie nie estetyki swej z teologją — co jest jawnym i zwycięskim nonsensem — ale niektórych swych przeżyć z przeżyciami religijnymi. Ale świadczy to co najwyżej przeciwko wygłoszonemu w tymże artykule twierdzeniu, jakoby ta „metafizyka”, której odmianną mieliby być estetyka wartościująca, nie zaspokajała żadnych szczególnych „potrzeb uczuciowych wyższego rzędu”. Argumentem natomiast przeciw metodom poznania wartościującego to również nie jest, ponieważ nie tych metod samych dotyczy, tylko zjawisk poznaniu towarzyszących, bez wpływu na sposoby jego zdobycia. Pozostaje wkońcu jeszcze jedna możliwość. Może tkwić w użyciu wyrazu „objawienie” taka intencja, że chce się przez niego podkreślić ściśle „prywatny”, indywidualny charakter pewnych rzekomych poznaw i odkryć, które się wobec drugiego człowieka w żaden sposób uzasadnić nie dadzą. Tu istotnie mielibyśmy pewien argument, ale nie jest on niczem odrębnym w stosunku do argumentu niesprawdzoneści: jest to ten sam w luźnym sformułowaniu i z dodaną tylko nutką ironji. Tak że, przy jednym z ujęć możliwych, zwroty p. Ossowskiego o objawieniu okazują się trochę żartem a trochę — próbą zastraszenia prostaczków; przy drugim nie dotyczą tematu; przy trzecim go coprawda dotyczą i stanowią rzeczywisty argument, ale nie różny od tego, który jeszcze nam pozostaje do omówienia. Na niego też — po tej minucie szermierki raczej niż dyskusji właściwej — skierujemy już teraz całą uwagę.

Są istotnie pewne rodzaje sprawdzania, może przez swe wyniki i najcenniejsze, które myślenie wartościujące posługiwać się nie ma możliwości. Sądu wartościującego podstawowego (a więc jednego z owych „założeń”, o których u p. Ossowskiego jest mowa) nie można sprawdzić ani tak jak, powiedzmy, działania arytmetycznego jedno przez drugie, ani tak jak jakiegóż zjawy niewiarogodnej przy użyciu obiektywu i kliszy, ani tak jak obliczeń astronomicznych zapomocą obserwacji, albo naodwrot. Podstawowy bowiem sąd o wartości ani nie da się osiągnąć w wyniku jakichś dedukcyjnych zabiegów, ani nie jest to sąd sprzeczawczy, mogący podlegać kontroli przyrządów mniej omylnych niż nasze zmysły, ani wreszcie nie można go zdobyć na dwóch różnych a niekwestjonowanych drogach poznania z tem, że otrzymane wyniki się konfrontuje. Nie znaczy to jednak bynajmniej, by nie można go było „sprawdzać” wogóle. Prawda, swego rozumienia tego terminu p. Ossowski nam nie wyjaśnił, i możliwym jest, że go używa w myśl jakiegóż określonej doktryny, która mu to rozumienie każe zacieśnić. Ale wobec tego że — z jego woli — rozmawiamy przecież trybem publicystycznym i musimy się choć częściowo stosować do sposobów wysławiania się poposolitych, wolno mi chyba rozumieć, że i o sprawdzaniu jest tutaj mowa w jakimś sensie niezbyt specjalnym. Zresztą kwestja terminologii jest drugorzędna; sam spór nie przestaje być sporem nawet jeśli się wyrazimy inaczej. Na czem tedy polega sprawdzanie w znaczeniu, o które mi chodzi i przy którym jest, jak mi się zdaje, na terenie wartościowania możliwe? Na tem, że o jakimś sędzię wydanym, i dzięki stosowaniu pewnych zabiegów, dowiadujemy się — czego? czy że był prawdziwy albo fałszywy? Chyba niekoniecznie; wystarczy, byśmy się dowiedzieli, czy jest on, i w jakich granicach, bardziej od swego zaprzeczenia *uzasadniony*. Aby więc o jakimś typie sądów móc mówić, że podlegają sprawdzaniu, trzeba, jak się zdaje, tylko dwóch rzeczy: by można było sensownie mówić o ich uzasadnieniu większem lub mniejszem, — i by ich stopień uzasadnienia mógł być przez taki czy inny dodatkowy zabieg stwierdzony. I otóż, wbrew wątpliwościom niektórych, estetyk wartościujący zakłada, że oba te wymagania sądy o wartości spełniają. Za nieprawdę przede wszystkim uważa, jakoby jeden sąd o wartości nie mógł być uzasadniony bardziej niż drugi. Może nim być w podobnym znaczeniu, w jakim może być sąd sprzeczawczy. I tak jak dla sądu sprzeczawczego mniejsze lub większe uzasadnienie zależy od pomyślniejszych lub mniej pomyślnych warunków, przy których został wydany, tak samo i dla sądów wartościujących. Jeżeli dwóch świadków różnie podaje numer prze-

jeżdżającego samochodu, to sąd tego, który stał o trzy kroki, jest bardziej, *ceteris paribus*, uzasadniony, niż sąd tego, który stał o trzydzieści; podobnie jeśli dwóch sędziów wydaje niezgodnie ze sobą oceny, to sąd tego, który, przypośmię, był bezstronny i nieuprzedzony i poznał przedmiot dokładnie, jest bardziej *ceteris paribus* uzasadniony niż sąd tego, który poznał pobieżnie i ponadto był jeszcze stronniczy. I chociaż obaj oczywiście mogą się mylić, mamy rozsądny powód optować za poinformowanym sądem, powiedzmy, Jana, raczej niż za widzinnie Jakóba. Tak mniej więcej rozumie estetyk spełnienie wymagania pierwszego. Spełnione jest jednak, jak mu się zdaje, również wymaganie następne: bo wchodzące w rachubę warunki, są to — jak owa bezstronność lub dokładna znajomość przedmiotu — fakty raz łatwiej raz trudniej, ale zasadniczo zawsze stwierdzalne. Wynik ten, trzeba przyznać, jest skromny. Przeciwnik nie bez pozorów racji zwróci uwagę, że najbardziej — o obrębie tych granic — uzasadniony sąd o wartości jest jeszcze uzasadniony tak słabo, że od przysiężenia samu lepiej się wstrzymać. Można by to zakwestjonować; lecz mniejsza o to. Ale, powie estetyk, my znamy także *wyższe* i doskonałe osiągalne tu stopnie uzasadnienia. Hez to naszych przekonani, nawet w nauce, opartych jest, w owej „ostatecznej instancji”, o którą tak się epieramy, na zgodności spostrzeżeń dokonywanych przez wszystkich, bez wyjątku, niezależnych od siebie obserwatorów, pracujących w warunkach właściwych! Czy w razie podobnej zgodności wszystkich niezależnych od siebie, pracujących w warunkach właściwych, sędziów wartości nie mielibyśmy rozsądnego powodu także ich spostrzeżenia przyjąć za swoje? — Ale tej właśnie zgodności, powie przeciwnik, nigdy nam nie zdarzyło się stwierdzić. — Tak: hośmy nigdy nie próbowali pewną liczbę obserwatorów postawić w warunkach właściwych i zestawić otrzymane wyniki. Chęć więc być skrupulatnym, nie wolno mówić, że sprawdzanie jest niemożliwe; wolno tylko powiedzieć, żeśmy go nigdy nie przeprowadzili faktycznie. Istotnie czynności tej, która przecież nie jest zasadniczo niewykonalna, nikt się jakoś na serio nigdy nie podjął; z tego jednak zbyt skwapliwie kują argument, odgrywa wróg wartościowania trochę zanadto rolę wszystkich „mezów zastoj”, wolaających, że coś jest niemożliwe, zanim się do tego zabrano. Zresztą, nie jest nawet potrzebne stwierdzenie samej pełni zgodności. Uzasadnieniem poważnym byłoby już *zmniejszenie* się rozbieżności w miarę jak warunki wydania sądu *zbliżają* się do właściwych; z takim zaś zmniejszaniem się przemawiają, w pewnej mierze, już i zwyczajne, niesystematyczne, codzienne nasze konstatacje bieżące. Konstatacje te — nikt nie przeczy — wymagają najsurowszej kontroli. Tak jednak jak rzeczy stoją, można z całym spokojem powiedzieć, że nietylko wyraźnego dowodu, ale nawet racji poważnej przeciw temu przypuszczeniu nie mamy. Wbrew niedorzecznemu przysłowiu i sceptycyzmowi niechętnych wydaje się, że uczciwa dyskusja, prowadząc stopniowo od sądów nieprzemysłanych do przemysłanych, prowadzi też od niezgodnych do mniej niezgodnych: i temu to w znacznym stopniu faktowi, a nietylko bezmyślności procesów natury socjologicznej, zawdzięczamy takie zjawiska jak eliminowanie, po pewnym czasie, wielu dzieł sztuki zrazu uchodzących za piękne, ustalanie dobrej opinii innych i wytworzenie się jakiejś takiej, narazonej na ciągłe rewizje ale przecież nie kapryśnej hierarchji. Same zaś owe wszelkie rewizje, rehabilitacje i t. p. należą z perspektywy szerokiej traktować tylko jako momenty takiej właśnie, na przetrznię dziejów, wielkiej dyskusji. Wszystko to byłoby arcyniedostateczne, gdyby miało usprawiedliwić pretensję do zrównania estetyki wartościującej z dyscyplinami dającymi duży stopień pewności. Wystarczy, natomiast, żeby uchylić zarzut niesprawdzoneści sam w sobie. W istocie mamy tu tylko sprawdzanie o wynikach mniej doskonałych. Tę zaś krytykę można skierować nietylko przeciw estetyce wartościującej, ale przeciw mnóstwu dociekań, tą zarazą wartościowania zgola niekniętych; a przecież dociekania te uprawiamy i niejedną stwierdzamy w nich postępek.

W świetle tych już kilku uwag staje się jasnym, jak dalece byłby niesłuszny również ów warjant odpartego przed chwilą zarzutu, czyniący z poznania wartości jakiegóż *privatissimum* poznającego. Wprost przeciwnie: zdobywanie, w rzeczach wartości, sądów coraz lepiej uzasadnionych jest pracą jaknajbardziej zborową. Prawda: indywidualny „odkrywca” nie od razu z tym stanem rzeczy się godzi. Przeżycia jego są tak intensywne i tak jego indywidualnością przesiąknięte, że zrazu skłonny jest, prawie jak mistyk, do co odkrył uważać za ostateczne i poprostu żądać od innych, by proroka uznali i uwielbili. Ale to jest pierwszy tylko impuls i uniesienie. Bo przecież nawet doświadczenie mistyczne — jeśli wolno tu mó-

wić o doświadczeniu — jest ciągnącym się poprzez wieki i wiaż uzupelnianem, korygowaniem, pogłębianem doświadczeniem wielu podmiotów. Cóż dopiero tu, gdzie ognia łańcucha są ze sobą sprzężone tyle widocznie! Wystarczy chwila trzeźwości i ochłonięcia w zapale, by odkrywca sobie z tego zdał sprawę i zrozumiał, że jego wizja prywatna jest cząstkowa i niedopelniona i że w najlepszym razie jest tylko wkładem, który wnosi on do dorobku wspólnego. To też, raz tak stwierdziwszy swoje granice, rychło staje się wyznawcą ludzkiej łączności, uczy się oglądać na towarzyszy i odnosić z pewnem hraterstwem zarówno do nich, jak i do samych ich „odkryć”, choćby jakim różnym niż jego własne. Zrozumiałe dalekim i może chłodnym pozostaje tylko wobec tych, którzy mu kwestjonują sam sens i celowość jego wysiłku.

W związku z tem dobrze będzie zwrócić uwagę na pewien jeszcze rys ogólniejszy w tym typie estetyka i moralisty, który p. Ossowski — niesłusznie, ale niechże mu już będzie! — chrzczył mianem „metafizyka” i w ten sposób chce zgubić. Z biegiem czasu zaszła dość zabawna rozszala między nim a tym jego sąsiadem, którego teraz w drodze represji, muszę chyba nazwać „pozytywistą”. „Metafizycy”, to byli dawniej ci budujący bez podsta, nieopatrzni, cwałujący na oślep: a pozytywiści — wszystko naodwrot. Niektórym atoli pozytywistom niezupełnie wyszło na dobre ani wrosło im w świadomość poczucie bezpieczeństwa od zbyt wielkich błędów ani zbyt niekiedy pochopna rezygnacja z traktowania pewnych problemów. Odwróciwszy się od spekulacji i czując się już tem samym na drodze pewnej, nie na żadnych karkołomnych bezdrożach, dziwnie czasem się wyżyli czujności; uznawszy zaś rozliczne pytania, nad któremi się mozolili ich poprzednicy, za „werbalne”, „nierealne”, „pozorne”, wrędecie jakoś zasmakowali w wygodach, które im ta metoda stwarzała, i niejednym problemem arcycylnym nie raczyli się zająć dlatego poprostu, że im był nie na rękę. „Metafizyk” natomiast, po tyłu błędzeniach i rozczarowaniach, czegoś przecież się wkońcu nauczył. To też dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek jest estetyk „metafizyczny” niepodobny do tego szablona, który w swym artykule tak wiernie zreprodukuje nam jeszcze raz p. Ossowski. Wie on dobrze, że mu grozą setki zasadzek; że jego indywidualne szanse pomyłki są większe niż szanse wygranej; ma w najwyższym stopniu poczucie niepewności swoich wyników, ciągłego ich zagrożenia przez krytykę cudzą i własną, słowem: nieustającego ryzyka. Ryzyko to jest zresztą jego radością, gdyż, jako typ psychiczny, ma w sobie i mieć musi coś z człowieka przycody i postawa jego wobec „pozytywisty” jest trochę jak postawa żeglarska, wiedzącego, że każdej chwili może iść na dno, wobec szczerą łodowego, któremu nic tak srodze nieprzyzwoitego nie grozi. Jest to na swój sposób też satysfakcja, ale nie to rozstrzyga o jego zachowaniu się w rzeczach poznania; rozstrzyga to, że nie chce iść na dno. I dlatego jest przedewszystkiem i całkiem poposolicie *ostrożny*. „Metafizyk” — lub raczej, mówiąc już serio, estetyk wartościujący — wie dobrze, że jego przedmiot jest niejasny i nieuchwytny i że to, co on w nim odkrywa, wymyka się z pod adekwatnych określeń. Choć więc w swym punkcie wyjścia jest, jak mówiłem, *sui generis* racjonalistą, łatwo w nim z drugiej strony odnaleźć rys ścislemu racjonalizmowi przeciwny: skłonność do traktowania pojęć i sądów jako pewnej tylko odmianny wysoce niedoskonałych symboli opornych na myśl ludzką rzeczywistości. To też ani światłocienia, w którym rzecz widzi, nie podaje on nikomu za światło pełne, ani się na śmierć i życie nie wiąże z tą lub ową formułą słowną czy też nawet z tem lub innym rozprowadzaniem dyskursywnym swej intuicji. Ma coś — właśnie on! — z ducha empiryzmu w tym sensie, że swoje posuwanie się w głąb przedmiotu pojmując jako szereg prób i nawrotów, jako wchodzenie w styczność, jako stopniowe *zżywanie* się z rzeczywistością. Cechuje go, wobec tego wszystkiego, i krytycyzm wobec własnych osiągnięć i świadome ścieranie kantów swych twierdzeń i gotowość do zmian i korektur i, wogóle, powściągliwość i jeszcze raz powściągliwość. Niczych też argumentów nie lekceważy; woli jednak, by tym argumentem nie towarzyszyły efekty wydobyte z rekwizytorni starej komedji.

HENRYK ELZENBERG

KONTO P. K. O. 1313

Naczelny Komitet
Uczczenia Pamięci

MARSZAŁKA

PIŁSUDSKIEGO

KIPLING ARTYSTA

„Doleciała mnie won jakby świeżego koka — ach, to kwitnął w pobliżu żarnowiec!”

Zdanie to z pięknej, nostalgiczno-humorystycznej noweli o niedzieli, spędzonej na prowincji angielskiej, zdawałoby się potwierdzać popularną tezę o egzotykcji Kiplinga. Wiele w istocie — zwłaszcza w jego utworach wcześniejszych — przypomina i świadczy o tym, że ten namiętny miłośnik rzeczy ojczyzny angielskiej, a przecież twórczość jego, częściowo jakby „emigrancka”, zgoutuje rozczarowanie tym wszystkim, którzy poszukiwać w niej będą pierwiastków autentycznego egzotyku — rozczarowanie tem głębsze, im lepiej się z duchem poety tego życzą. Wszystkie w niej istotne przywiązania są angielskie. Anglję kocha Kipling jak ten, co zaznał rozłąki.

„Cudny zapach niósł się w powietrzu — zapach kurzu przydrożnego, dymu i zdeptanych pokrzyw, zapachu, od którego lzy stają w oczach przybysza, rzadko odwiedzającego ojczyznę — zapach niży jakiegoś echo przebrzmiałej roznowy zakochanych — sugestywny niesłychanie zapach odwiecznej cywilizacji...”

Poeta zapachów i kolorów wszystkich peryferij imperjum przedewszystkiem był poetą jego serca odwiecznego i zielonego. Poeta niewątpliwy i intensywny, śniący wizje i marzycielski, a jednocześnie z niesłychanie bystrą uwagą obserwujący, i zainteresowany dziecinnie we wszystkich swych „postrzeżeniach”.

„Wyobraźcie sobie zadowolenie dziecka, błądzącego wśród wszystkich cudów świata, które właśnie rozpakowywano na miejscu, wyszukującego swobodnie po prowizorycznych budynkach, ustawianych dokoła budowl, zwanej Trocadero, przechodzącego ile razy zechce przez furtki w drewnianych barykadach, za którymi robotnicy wnosili kioski i pawilony albo sadzili ozdobne rośliny i drzewa... Po paru dniach nikt nie pytał mnie już o przepustkę, — jak mucha niepłozony siadywałem więc otąd na wirujących kole barw, woni i widoków...”

Owaj wścibską muchą był dwunastoletni wówczas Kipling, ezwdajający się po terenach wystawy paryskiej z r. 1878. Wścibskość ta, i dziecinne zainteresowanie otaczającym światem pozostały zmiennym zawsze rysem jego organizacji duchowej. Odczucie piękna w świecie rzeczywistości i niezwykła skrupulatność literacka przy komunikowaniu tej wizji wyposażają jego artystę w pewien wdzięk tęskny, ujmujący i niemal metafizyczny, jeden z najdroższych chyba powabów jego sztuki. — Za wizję świata, użyczoną mu, dziecięcą i przejmującą, już we wczesnym wierszu kornie dziękował Opatrzności poety:

It is enough that through Thy grace
I saw nought common on Thy earth,
— Take not that vision from my ken!

Ocalić ją, znaczy zostać do końca życia poetą. A poezja (*the true romance*) jest żywiołem odnawiającym świeżość spojrzenia na świat.

Who holds by Thee hath Heaven in fee
To guild his dross thereby,
And knowledge sure that he endure
A child until he die?

Poeta tak widzący świat czuje się w duchu głęboko pojednany z jego porządkiem. *The God of things as they are* — oto Bóg, któremu dziękuję za przerozmaity świat poznawalny zmysłami rzeczywistości fizycznej. Obserwator-poeta¹ chodzi po nim czujny i wdzięczny, z duszą zawsze „do głębi zainteresowaną” — (*my deeply interested soul*).

Intensywne przeżycie piękna rzeczywistości z powrotem w marzeniu sprawia, że przedmioty niby dokładnie te same co w rzeczywistości, odbite w zwierciadle sztuki kiplingowskiej, zniewalają nas już nowym i wizyjnym urokiem. Któż nie odczuł tego, czytając *Kima*?

Z tą samą skrupulatnością artystyczną i przy pomocy tej samej metody Kipling wypracowuje wizję przeszłości w swych nowelach historycznych. Żeby zobaczyć przeszłość, używa wzroku w ten sam sposób, jak oglądając w marzeniu współczesną rzeczywistość. Nie upiększa rzeczy, nie otacza „atmosferą”, nie archaizuje sztucznie mowy — daje nam zato złudzenie, że zbliżka widzimy. W najnowszej beletrystyce polskiej przykład pokrewnego artysty mamy w nowelach Stefana Godlewskiego, którego *Warszawa* wydaje mi się najszcześliwszym polskim odpowiednikiem Puka.

¹ Dziękuję Ci, że za sprawą Twej łaski nie widziałem na ziemi pospolitego: nie daj mi utracić tej wizji.

² Kto wierny Tobie będzie, temu niebo rupiecie ozdoci, ten napewno do końca życia zostanie dzieckiem.

Dłuższe opisy niewiele zajmują miejsca w utworach Kiplinga. Wyobrażenia jego, aczkolwiek mocna, nie była obfita, i niecierpliwiła się szybko.

Ukazywała zdarzenia i rzeczy zazwyczaj w nagłych błyskach, jakby magnetycznego światła. Zrzadka tylko wydawała obrazy i pejzaże w obfitejszym szczególe i w spokojniejszym tempie. Najpiękniejsze przykłady tego rodzaju malarstwa to pewnie opisy leniwego życia gościńców indyjskich, i pejzaże himalajskie z *Kima*, a z krajobrazów angielskich — pejzażowe partie tajemniczej noweli *One (They)*. Naogół odnosi się wrażenie, że maniera opisowa Kiplinga odpowiada raczej technice ryłca niż pendzla. Nasuwa analogie zwłaszcza z powolnym i efektywnym nowoczesnym drzeworytu, już to czarnobiałego już to kolorowego. Niecierpliwej naturze tej fantazji nie odpowiadało wogóle snucie długich powieściowych wątków. Po wysnuciu najdłuższego — o wędrownikach *Kima* — beletrysta stał; i choć stworzył jeszcze potem wiele najświetniejszych swych i najciekawszych pod względem kompozycyjnym nowel, o nową powieść już się nie pokusił.

Piszący te słowa należy do tych admiratorów Kiplinga, którzy późniejsze zbiory nowel przekładają nad wcześniejsze. Porównanie młodzieńcych opowiadań z ostatnimi (np. *At the Pit's Mouth* i *Dayspring Mishandled*) — uwidatnia, jak bardzo skomplikowała się z biegiem czasu technika kompozycyjna i narracyjna Kiplinga. Stał się pisarzem coraz trudniejszym, coraz skuteczniej mistyfikującym czytelnika stylem eliptrycznym, zagadkową i nieraz napozór chaotyczną konstrukcją i — *last not least* — wysubtelniłą metodą aluzji i niedopowiedzeń.

Z nowych beletrystów angielskich jest to niewątpliwie najtrudniejszy dla obcego czytelnika ezelator słowa. Dziedziny zainteresowania Kiplinga też bywają dość nieprzystępne. Pasją jego zawsze były zagadnienia psychologii Anglika — typu sformowanego w szkole tradycjonalistycznej cywilizacji, występującego w licznych odmianach i podgatunkach. Już w czasie młodzieńczych wędrowek w różnych punktach globu i klimatach zagadnienia te interesowały go nad wszystkie inne; najwdzięczniejszym jednak ostatecznie tematem okazał się Anglik żyjący w otoczeniu naturalnym i w klimacie rodzimym. W tych warunkach przedstawia nam go Kipling „późniejszy”. Życie społeczeństwa od wieków osiadłego nastęrczało ciekawszemu problemowi pisarzu, zaglądnącemu w głąb pokładów „geologicznych” cywilizacji, niż kasyna i garnizony angielskie w Indjach. Tamtejszy żywioł autochtoniczny niewiele go obchodził, żywioł napływowy zaś oczywiście dość płytko zapuszczał w grunt korzenie. Wszystkie opowiadania Kiplinga z przed lat trzydziestu nie pozwoliłyby nikomu zgadnąć, jakimi drogami potoczy się następnie w Indjach koło historii. Tak Kipling, wbrew popularnemu mniemaniu, nie jest egzotystą, wszędzie i zawsze natomiast zostaje interpretatorem psychologii swych ziomków, pod wielu względami nawet dla nich samych zagadkowej. Poeta „plemienia”, w najlepszych swych utworach wyrasta na piewę uczuć i dążeń duszy zbiorowej — hard starej społeczności, potężnej i w spoczynku, i w ruchu i walce.

Lojalność jakby synowską żywi dla tradycji starożytnego Rzymu, upatrując w rzymskiej enocie obywatelskiej pewien prototyp właściwości i zalet moralnych Anglika.

Wśród społeczeństw europejskich najbardziej kocha drugą szlachetną córę Rzymu — Francję, której w upominku przyjaznym ofiarował ostatnią swą książkę (*Souvenirs of France*, 1933). Kilkoletni pobyt w Ameryce wtajemniczył go niezłe w tajniki psychologii Jankesa. Ten nowy gatunek człowieka interesuje Kiplinga zwłaszcza, gdy się dostaje w orbitę wpływu cywilizacji angielskiej. Różny jest los tych zblakanych wędrowców. Czasem już przy pierwszym zetknięciu z Anglikami padają ofiarą komicznych nieporozumień (*My Sunday at Home*), czasem nie potrafią się zasymilować mimo wielkich a naiwnych wysiłków (*An Error in the Fourth Dimension*), czasem zasymilują się i ukorzą wbrew daremnym próbom oporu (*An Habitation Enforced*), czasem trwają w obcym środowisku jako przybysze sympatyczni, lecz dość w egzotykcji swej śmieszni (*The Edge of the Evening*).

Żywioł angielski o wiele większą gra w twórczości Kiplinga rolę, niż zdawać się to może napozór. Nawet gdy bohaterami nie są ludzie, mamy bardzo często do czynienia z satyrą polityczną lub opowiadaniem alegorycznym.

Nawet gdy alegoria usuwa się na plan drugi, kucyki, świnki i pieski i inni fantastyczni bohaterowie tożsamością wiały rysów charakteru, lojalnością, całą swą filozofją życiową i kodeksem postępowania przypominają nam dobrze budow-

niczych Imperjum. Bardzo dowcipnie, a czasem i z nadzwyczajną intuicją psychologiczną wyposaża ich także Kipling w drugorzędne rysy indywidualne, właściwe ich szczególnym i różnorodnym postaciom. Naogół jednak, w galerii tych figur panuje pewna jednostajność charakterologiczna. Czworonogi podobne są dosyć do owadów, owady do ludzi, ludzie do maszyn, aniolowie do żołnierzy i funkcjonariuszów państwowych...

Najsłynniejsze z serji nowel alegorycznych *Księgi Dżungli* prawdopodobnie najmniej też autentycznie odtwarzają psychologię zwierząt. Najsubtelniejsze zaś w tym zakresie odgadnięcia Kiplinga — zawierają pewnie późniejsze nowele z życia psów, z których ostatnia, wyborna, o poszukiwaczu trufli, *Teemie*, jest też ostatnim ze wszystkich ogłoszonych dotychczas utworów pisarza.

Nie będąc portrecistą indywidualności narodowej. Nie może oczywiście być, i nie próbuje, portrecistą wszystkich jej znamiennych rysów. Dokonywa wśród nich wyboru, deklaruje się jako zwolennik pewnego określonego systemu tradycji. Nie tu miejsce na omawianie ideologii Kiplinga. Dla jego artysty natomiast wielkie znaczenie ma pasja pisarza do uwidatnienia wszelkich przejawów rytuału społecznego. Bohaterowie jego to przedewszystkiem rytualiści, poruszający swe siły indywidualne w walce z losem wykonywaniem gestów, mówieniem słów, myśleniem myślami rytualnych... *All ritual is fortifying*. W społeczeństwie, zachowującym ciągłość rozwoju cywilizacyjnego wyjątkowo szczególnie, pierwiastek rytuału społecznego wzmacnia wolę jednostki na każdym kroku i wydatnie wzmaga jej nęstwo. Silne z natury jednostki dopiero przez rytuał społeczny uzdolnione są w pełni do walki z losem. Wtedy mogą przyjąć ból i śmierć lekceważąco — obrzędowymi formułkami, milczeniem lub paplaniną — jak obyczaj i dobry ton przykaże. Mnóstwo opowiadań Kiplinga wypełnia ta ceremonialna paplanina, w pauzach tylko jest czas na opis i na bieg tragicznych wydarzeń. Dysproporcje niezwykle dla sztuki Kiplinga charakterystyczne. (Jakaż reprezentacyjna np. pod tym względem nowela *The Wish House*, w zbiorze *Debts and Credits*).

Sam autor, znawca tych użytecznych a przeważnie nieoficjalnych rytuałów, wciąż tworzonych przez tradycjonalistyczne społeczeństwo, wielbiciel ludzi mocnych, solidarny z nimi duchowo, nie stoi przecież z nimi w jednym szeregu. Po scenie, na której działają, ideolog czyni sam przesuwając się jako widz, nie aktor. Krzepi nas zdrową atmosferą swego teatru, a przecież czujemy w niej nieuchwytny smutek, echo tragedji osobistej. Podobny rozdźwięk znamy z twórczości Wyspiańskiego, oskarżyciela poezji, co sam tylko poezję tworzył. Kipling za pokutę przekreśla samego siebie, dwoi się i troi, wcielając się w najrozmaitsze postaci niepoetyckie, praktycznych „ludzi czynu”, przegada każdego w jego roli, wyjęczy się specyficznym żargonem sfery, zawodu, rzemiosła, rzadko kiedy pozwoli sobie samemu na słowa literackie. Prześciga zawodowców wiedzą techniczną, a przynajmniej jej ostentacją — i nieskromnością tego popisu raz jeszcze uwidatnia różnicę między obserwatorem — dziecinnym marzycielem a praktykiem, mającym czczą ostentację kompetencji w pogardzie. Kipling nie mógłby powiedzieć o sobie tego, co wślad za swym bohaterem (z noweli *The Tale*) powtórczy mógłby Conrad — *my tales were never technical*.

Tak jak „kompleks widza” czyni poetę jeszcze zawziętym chwalcą czynu, tak też pochwała zdrowia duchowego i wszystkich ćwiczeń, zdrowiu temu sprzyjających, tem mocniejszy ma wyraz, że poeta zna dobrze niebezpieczny pas graniczny, za którym zdrowie ducha się kończy, a zaczyna się obłąkanie. Wielokrotnie wyobraźnią przekracza tę granicę, opiewuje różne skutki przepracowania, wstrząsu psychicznego, wypadki melancholji, telepatji, ataki migreny, halucynacje, przywidzenia i inne dziwne zjawiska psychiczne i symptomy obłądki. (Trudno o lepszy opis migreny, niż ten pamiętny z *The House Surgeon*). Daje to miarę wrażliwości autora — senzytywa, i charakteryzuje jego poetycko-imaginacyjną naturę, w której *the poet and the lunatic* blisko sąsiadowali. Świadomością sąsiedztwa tych dziedzin, w których duch może się zgubić, tem cenniejszą w oczach poety czyniła wielką organizację bezpieczeństwa i zdrowia duchowego — naród z jego zbawczymi dyscyplinami, i leczniczymi dla duszy wartościami tradycji. „Przyciśnij do serca grudek ziemi angielskiej, a odejdziesz to co cię trapi. Uspokoi się oddech, skończy się męka duszy. Od poczynku zazna przepracowany mózg, doznają ulgi ręce. Łżej ci będzie potem, śmiertelnemu, walczyć z losem nieśmiertelnym. Aż zdrów całkiem na duchu, samym sobą zaświadczysz szczerą laskawość niebios”.

WITOLD CHWALEWIK

Poniżej podajemy wzmiankę informacyjną o polskich przekładach Kiplinga, jak zobaczymy — licznych, lecz obejmujących stosunkowo niewiele z nowelistycznego dorobku pisarza. Niektóre, zwłaszcza wcześniejsze książki, tłumaczono wielokrotnie, z późniejszych nie przyswojono polszczyźnie prawie nic. Pierwsza, czy też jedna z pierwszych zaczęła przekładać Kiplinga Wila Zyndram-Kościałkowska, zasłużona tłumaczka Dickens'a i Bret Harte'a. Jej przekładania wyszły w r. 1892 w Petersburgu (*Nowele*). *Plain Tales from the Hills* dopiero w r. 1930 zostały w całości przełożone przez Józefa Birkenmajera p. t. *Gawędy z pod Himalajów*. Dobry wybór nowel ogłosiła A. Gawrońska p. t. *Pod niebem indyjskim* (Lwów, 1905). M. in. *The Phantom Rickshaw* („Widmo lektki”) a także parę nowel ze świetnego cyklu *The Day's Work*, zresztą przez tłumaczów nietkniętego, mianowicie: *The Tomb of his Ancestors*, *William the Conqueror* i *The Brushwood Boy* (w tej ostatniej, spolszczonej p. t. „Chłopiec z nad morza”, urywki wierszowane przełożył Jan Kaspro-wicz). Jednocześnie w Książkach dla wszystkich M. Arcta ukazał się tomik p. t. *Z pod nieba Indji*, spolszczył Aem (Warszawa 1905), zawierający dziewięć nowel, głównie z *Plain Tales*. Z tegoż zbioru przeważnie zostały wybrane nowele do tomików: *Zemsta Dugary*, tl. F. Chwałihóg (Lwów 1909) i *Zaczarowany dom* tl. F. Chwałihóg i A. Z. (Lwów 1910). — *Captains Courageous* znalazł tłumaczkę w r. 1913 (*Odważni*, powieść z życia rybaków, przełożyła J. B.), drugi raz przełożył tę powiastkę Józef Birkenmajer (*Kapitanowie Zuchy*). *Naulahkę* (owoc współpracy Kiplinga ze szwagrem, W. Balestierem) przełożył przed laty C. N. (*Tajemniczy naszyjnik*) oraz w r. 1929 Józef Olbrycht (*Królewski klejnot*). *The Jungle Book* przetłumaczył w r. 1900 S. Mianowski, w tymże roku Józef Czekalski (*Księga puszczy*), następnie F. Mirandola (dwa wyd. w r. 1922 i 1932), i w 1931 r. Józef Birkenmajer. *The Second Jungle Book* przekładali Józef Czekalski (1902) (*Druga księga puszczy*) i F. Mirandola (*Druga księga Dżungli* 1923, II wyd. 1928). Z tych najlepsze są przekłady Czekalskiego, najgorsze Mirandola. Prace Czekalskiego uznać należy wogóle za najlepsze z dotychczasowych prób spolszczenia Kiplinga. — *Kim* przekładany był trzykrotnie: przez M. G. (Bibl. Dzieł Wybor., 1902, 2 t.), przez Wilhelma Mitarskiego (najgorzej; wyd. „Ignis”, 1922, 2 t., II wyd. nakładem „Taniej Książki” w r. 1926, 2 t.) i przez Józefa Birkenmajera (1926). Powieść *The Light that Failed* spolszczona została już w r. 1893 przez Anatola Krzyżanowskiego (pseud.); (II wyd. 1912 r., nakładem Bibl. Dzieł Wyb., 2 t. p. t. *Zawodne Światło*) oraz przez drugą tłumaczkę — Eugenję Zimniewską zaraz w r. 1894 (*Zagaste światło*); następnie przez J. Birkenmajera (*Światło, które zagasto*, 1928). *Stalky and Co* mamy w przekładach: Jerzego Bandrowskiego (*Stalky i Sp.*, 1923, II wyd. 1929), i Zofji Popławskiej (*Stalky i towarzysze*, 1927). *Just so Stories* przełożyli: Marja Kreczowska (*Takie sobie historyjki*, 1904) i Stanisław Wyrzykowski (*Takie sobie bajeczki dla małych dzieci*, 1928, w 2 tomikach). *From Sea to Sea* tłumaczyła M. G. (*Od morza do morza*, B. Dzieł. Wyb., 1901, 2 t.), *Listy z Japonji* przeł. Marjan Polonński (1904). — Wszystko to daje niepełny obraz twórczości Kiplinga zaledwie po r. 1902! Z utworów późniejszych *Puck of Pook's Hill* przełożyły panie: Niemirowska i Arnstein (*Puk*, 1924); *Actions and Reactions* spolszczył (jak najnieudatniej) Witold Zechenter (*Zew ziemi*, 1929).

Jak widzimy z powyższego sumarycznego przeglądu, pióra tłumaczy przyswoili wprawdzie to i owo z *Life's Handicap* i *The Days Work*, pominieli jednak całkowicie m. in. zbiory: *Many Inventions* (1893), *Traffics and Discoveries* (1904), *Rewards and Faeries* (1910), *Diversity of Creatures* (1917), *Debts and Credits* (1926), *Thy Servant a Dog* (1931), *Limits and Renewals* (1932). Niektóre cenniejsze opowiadania doczekały się spolszczenia osobno, tak np. *One (They)* z *Traffics and Discoveries* przełożyła A. Reymontowa (w *Sfinksie* za redakcją Wł. Bukowińskiego), *Człowieka, który chciał być królem* (z *The Phantom Rickshaw*) przetłumaczył Jerzy Bandrowski (Bibl. Dzieł Wyb., 1923). Sporo tłumaczeń rozproszonych się po czasopiśmie, dużo znaleźć można w odcinkach lwowskiego *Słowa Polskiego* mniej więcej z przed lat trzydziestu. Z poezji Kiplinga osobno wyszła, nakładem Polskiej Macierzy Szkolnej, *Pieśń dzieci* (*The Children's Song*) z *Puka* (w tłumaczeniu Stanisława Piętkowskiego).

OD ADMINISTRACJI

III Rocznik *Pionu* (styczeń — gruzień 1935), zawierający spis treści, 468 str. tekstu oraz około 400 ilustracji, jest do nabycia w ograniczonej ilości po 15 zł. za egz. oprawny w płótno angielskie, i „20 „ „ „ „ w półkórce.

NIEMIECKI ANTYSEMITYZM

(SPOSTRZEŻENIA PODRÓŻNIKA)

Utarło się w świecie przekonanie, że Niemcy muszą mieć kogoś, kogoby masowo nienawidzili. Stały stosunek nienawiści istnieje do Francuzów, pozatem znajduje się jeszcze ktoś inny, np. od czasów Bismarcka, przedmiotem nienawiści byli Polacy z powodu niewdzięczności za zupełny zamiar zgermanizowania. To uczucie przeniosło się również na czasy powojenne, dzisiaj jednak żyjemy w harmonijnym przymierzu, na które coppersada pada stale cień od Pomorza, ogółem jednak i ludzie wyrządzają się o Polakach uprzejmie, choć bez entuzjazmu, i prasa informuje o Polsce rzeczowo i spokojnie.

Obecnie prąd nienawiści, traktowanej jako środek koniecznej samoobrony, został skierowany w koryto antysemityzmu. Nie dotarłem do źródła jego przyczyny, niemniej jednak na podstawie rozmów, jakie prowadziłem w różnych stronach Niemiec z różnymi osobami w ciągu kilku tygodni pobytu w Niemczech, jak również na podstawie pilnego śledzenia pracy można było sobie wyrobić jakiś taki pogląd na tę sprawę.

Rozmowy z przygodnie spotkanymi lub poznanymi osobami dowodzą żywotności ruchu antysemitycznego w całym Niemczech. O Polsce mówiło się zwykle niewiele, ponieważ nie mają o niej obywatele niemieccy wyraźnego wyobrażenia, natomiast położenie Żydów w naszym kraju jest im doskonale znane, wiedzą mianowicie, że Polska posiada największy procent Żydów na świecie, że żyją w niej, jak w Arkadii, że są różne typy żydowskie, z których każdy jeden określał jako Żydów brudnych (*die schmutzigen Juden*), a wogóle do polskich Żydów (*die polnischen Juden*) żywią znacznie większą awersję, aniżeli do własnych i jeżeli ten typ żydowski mają u siebie, starają się go tępić bezwzględnie.

Nadmierna ilość Żydów w Polsce psuje trochę u przeciętnych Niemców pogląd na harmonijne współżycie polsko-niemieckie, zwykle też w rozmowach ujawniają wielką ochotę do podania Polsce rad i wskazówek, jakby najskuteczniej przeprowadzić walkę z żydostwem. Jeden z wybitnych uczonych niemieckich oświadczył mi, że wystarczy jedna ustawa, wydana przez rząd przeciw Żydom, a sprawa byłaby załatwiona. Uczony ten zna Polskę i orientuje się dobrze w sprawach żydowskich.

Niemiecki antysemityzm jest całkiem oficjalny, urzędowy, a znajduje energiczne poparcie w całym społeczeństwie. W jednym tylko wypadku przygodnie poznany przeszło osiemdziesięcioletni starszynek nie podzielał wojny antyżydowskiej, poza tem płoną ludzimi oczu i wypija się nienawistne słowa, kiedy się przejdzie w rozmowie na temat żydowski, dziś najbardziej żywotną kwestję.

Muszę przyznać, że nigdzie nie zauważyłem ekscesów antyżydowskich, chociaż się podobno zdarzają, zresztą raz tylko w ciągu kilku tygodni spotkałem Żyda i to z typu Żydów galicyjskich, ale nie tak rasowych, jacy się u nas znajdują. Było to w Mannheimie w tramwaju. Łatwo dało się zauważyć, że z oczu jego bije przerażenie i strach, że czuje się bardzo źle, publiczność jednak odnosiła się do niego obojętnie, a na jego zapytanie konduktor udzielił mu uprzejmej odpowiedzi. Niemcy starają się zachować pozory, iż ich bojkot żydowski ma całkiem kulturalne metody, to też podkreślają z naciskiem, że ani jeden Żyd nie został zabity, a gdy się to raz zdarzyło, sprawca zabójstwa został skazany na karę śmierci.

Inna rzecz, że w kierunku antysemityzmu pracują wszyscy, a tam, gdzie jest większe skupienie elementu żydowskiego, zaznacza się on bardzo silnie. Do najbardziej zażydzonych miast należy Frankfurt nad Menem (rodzinną miasto Goethego), w tem bowiem przeszło półmilionowym mieście element żydowski dochodzi do 5 proc. ludności i to stanowi poważne zmartwienie. To też zwłaszcza w tem mieście spotyka się przy wejściu do sklepów i innych lokali napis: „Żydzi nie są pożądani” i zapewne żaden Żyd nie kwapi się do odwiedzania takiego lokalu.

Bojkot żydowski rozwija się konsekwentnie, po zniszczeniu intelektu żydowskiego (prasa, literatura, teatr i t. d.) rozpoczyna się i obecnie przybiera ostry charakter walka z żydowskim kapitałem. Siłą rzeczy we Frankfurcie nasunęło mi się pytanie, czy również baronowie Rothschildowie (ich rezydencja mieści się właśnie we Frankfurcie) podlegają temu ostremu rygorowi. Oświadczone mi, że ich się oszczędza, ponieważ ich przedsiębiorstwa dają zarobek niemieckim robotnikom. Położenie Żydów jest wogóle trudne, ponieważ nielato wyjechać z Niemiec wobec przepisu, że wolno tylko wywieźć 10 marek, ci zaś Żydzi, którzy przed laty dziesięciu przybyli z Polski i przyjęli niemieckie obywatelstwo, starają się nagwałt o przywrócenie polskiego obywatelstwa.

Cała prasa niemiecka posiada stale rubrykę żydowską, w której rejestruje się róż-

niez pilnie i z zadowoleniem wiadomości o wybrzykach antyżydowskich w Polsce, przyczem wiadomości czerpie się z warszawskiej żydowskiej gazety *Nasz Przegląd*. Poza tem stale notuje się różne przewinienia żydowskie, do których należy sprzedawanie przez Żydów towarów niemieckiej klienteli, przyjmowanie spraw Niemców przez Żydów-advokatów, udzielanie porad lekarskich przez Żydów-doktorów, a przedewszystkiem obcowanie Żydów z Niemkami. To jest największe przewinienie, za które aresztuje się obie strony, przyczem powstał nowy rodzaj paragrafu karnego, określonego jako hańbienie rasy (*Rassenschänderei*). Istnieje pozatem specjalne pismo antyżydowskie *Stürmer* (Bojowiec), w którym pisze się stale o

przewinieniach żydowskich. Niedawno zdarzył się całkiem zabawny incydent. Jakiś księgarz Żyd sprzedawał wśród innych wydawnictw *Stürmera*, co wywołało powszechne oburzenie wśród niemieckiego społeczeństwa. Aby zatem zabezpieczyć owego kupca przed napaścią oburzonej publiczności, wypadło go aresztować i zapewne tego rodzaju zabezpieczenie potrwa przez dłuższy czas.

Istnieją również w niektórych miastach księgarnie, w których sprzedaje się wyłącznie książki antyżydowskie i jak się okazuje, literatura tego rodzaju jest bardzo bogata, przyczem może liczyć na pokup.

Walka z elementem żydowskim jest przeprowadzana całkiem konsekwentnie i bezwzględnie, ma na celu wyzwolenie się narodu niemieckiego od ucisku i przewagi żydowskiego kapitału i ma się zakończyć wówczas, gdy w Niemczech nie będzie ani jednego Żyda, z wyjątkiem może barona Rothschilda.

JÓZEF GOLĄBEK

„SZTUKA WNETRZA“

Obrazy, już trochę nużące swą wielką ilością, rzeźby, nieharmonizujące często z otoczeniem, ustąpiły miejsca „Sztuce Wnętrza” i tu znalazły lepsze zastosowanie. Rozgościł się w salach I.P.S., zmieniając jego oblicze, *Ład*. Zasluzona ta grupa, kontynuująca i spadkobierczyni hasła propagowanego przez *Polską Sztukę Stosowaną* i stowarzyszenie *Warsztaty Krakowskie*, prezentuje nam swój wysiłek twórczy, zamykający dzieścicielec działalności.

Pierwsze ogólne wrażenie wystawy jest raczej dodatnie, składa się na nie przede wszystkim nadzwyczajnie staranne jej urządzenie (tapety, obicia z tkanin na ścianach, lustra i t. p.). Przy bliższym jednak rozejrzeniu się, odnośnie do szeregu ekspozatów nasuwają się wątpliwości co do słuszności rozwiązywania w podobny sposób zagadnienia nowoczesnego mebla, oraz co do słuszności wogóle linii, na którą, sądząc z wystawy, *Ład* obecnie wkroczył.

Jest bowiem rzeczą jasną, że znajduje się on w momencie zwrotnym. Dawniejsza surowość, reakcja przeciwko bogactwu dekoracji, zasada wychodzenia tylko od materiału, od konstrukcji zgodnie z jej charakterem, zostaje teraz w większości wypadków przelamana.

Dawniejszy *Ład* prosty, oszczędny, nie narzucający się, reprezentuje Jan Kurzątkowski w swym fragmencie pokoju do pracy z biurkiem, fotelom i szafą na książki. O zasłużonej działalności tego artysty w dziedzinie tak u nas zaniedbanej, jak zabawkarstwo, świadczą pomysłowe, pełne smacznego dowcipu papierowe ozdoby na choinkę.

Zasadę celowej użyteczności stosuje również Roman Schneider w pokoju mieszkalnym, wykonanym w palonej sośnie. Kanapa (już nie tapczan) staje się tu, po wyjęciu odpowiedniej zastawki-drabinki, łóżkiem, sekretarzyk przez odłożenie klapy — wygodnym stołem do pisania. Bardziej wytworne, choć całkowicie jeszcze wychodzące z zasad dostosowania mebla do funkcji, którą ma spełnić, jest mahoniowe biurko tegoż artysty.

Trudno natomiast zaaprobować fragment salonu, projektowany również przez Schneidra, gdzie pozorna prostota, cechująca dawny styl *Ładu*, zostaje zastąpiona przykrem komplikowaniem formy, wywołującym niepokój.

W zespole tym brak jest harmonii poszczególnych składników, które odbijają od

siebie (krzesło nie odpowiada fotelowi, stółlik formą swą nie usprawiedliwia należenia do tego kompletu). Spoiwem, mającym łączyć te rozlatujące się części zespołu, jest szlachetne pokrycie i nogi o niespokojnej, wklęsłej linii.

Objektem też, który nie wytrzymuje krytyki estetycznej i słuszności racjonalnych założeń, jest szafka obita materją. Pokój stołowy tegoż artysty nuży formami zbyt złożonymi, zabudowany silnie dół stołu wywołuje pytanie, co zrobić z własnymi nogami?

W jadalni projektowanej przez Marię Bielską i Halinę Karpińską przebija wyraźna nuta chęci osiągnięcia wykwiutu, lekkości na zasadzie prostoty i silnego wycucia wartości konstrukcji mebla, oraz dążenie do odnalezienia nowych możliwości estetycznych i udoskonaleni technicznych (zawiasy, klucze i t. p.). Jako całość wnętrza to jest jednym z najlepiej zharmonizowanych kolorystycznie; uzupełnionem doskonale dodatkami ozdobnymi jak np. bardzo piękną lnianą firanką. Pod hasłem wygodnego wypoczynku konstruowane są fotole tychże autorek, stanowiące fragment gabinetu, oraz obiekty pojedyncze, „fotele wypoczynkowe”, w których tapicerszczyzna jest silnie związana z drzewem. Interesujące też są fotole naprawdę „wypoczynkowe”, z różowawej sosny (sosna stara), projektowane i wykonane we własnej pracowni doświadczalnej w Blinowie przez Bielską-Kunicyńską. Wysiłek doszukiwania się efektów rzeźbiarskich w meblach, a nie tylko piękna opartego na szlachetności konstrukcji i proporcji sto-eunków wielkości, przejawia jadalnia palisandrowa Czerwińskiej-Sawickiej. Finezyjne rozwiązanie blatu stołu (wielokątny), wymyślne nogi podobać się mogą, ale nastroczają poważne ryzyko, gdyż stojąc na pograniczu galanterii meblarskiej, szybko mogą się znużyć.

Salon Krystyny Dydyńskiej i Janiny Grzędzielskiej, fotole i kanapka bez oparcia, wykazujące znaczną przewagę tapicerszczyzny, odznaczają się świeżością, nowością ujęcia i samodzielnością pomysłu. Zadziwia tu odwaga harmonizowania kolorystycznego różowego pokrycia z wyjątkowo pięknym dywanem strzyżonym, komponowanym z niesymetrycznie układających się motywów jeleni przez Władysława Zycha. Drażliwą kwestją są meble luksusowe, mające jakoby odpowiedzieć zapotrzebowaniu istniejącemu w tym kierunku.

Reprezentacyjne gabinety Czesława Knothego, starannie maskują swą użytkowość. Najspokojniejsze, choć też o bardzo dziwnie profilowanych nogach, są stoly-biurka, kanapa zaś i fotole rażą niezharmonizowaniem tapicerszczyzny z konstrukcją drzewa, nużą jednostajnością płynności form w różnych kierunkach. Trudno też przyjąć z uznaniem fotole sałonoowe, w których błąją się reminiscencje dawnych stylów i gubi modernistyczna funkcjonalność mebla. Wrażenie bogactwa form osiągnięto tu złoceniem i srebrzeniem oraz niespodziewanymi dodatkami, jak wstawki drewniane — skrzydelka pod poręczami w kolorze i fakturze pokrycia. Galony srebrne, odrzynające się jaskrawo i tanio od pokrycia i drzewa fotela.

Podobne zestawienia budzą też i meble Marjany Signunda, któremu nie udało się pomyślnie „skomplikować” kolorystycznie wnętrza z dywanem, który wzorem swym sugeruje twardość i zimno kamiennej posadzki.

I tutaj też współczesność zostaje zakłócona dysonansem rzeczy przeszłych, stosowanych bez dawniejszego ich uzasadnienia. Jaskrawe memento ostrzegawcze stanowi komplet salonoowy Jana Kaisera o formach dziwnie powyginyanych.



WL. ZYCH

Dywan strzyżony

Mukiety Golińskiego, rozwiązujące teoretycznie wnętrza (pracownie) mające zapewnić maximum wydajności pracy matematykowi (wnętrze rozpraszające), pozostać muszą, narazie przynajmniej, w dziedzinie prób teoretycznych.

Ścisłe połączone z wnętrzem i meblami tkaniny stanowią dział wytwórczości *Ładu*, stający całkowicie na wysokości założonego sobie zadania. Pokrycia mebli, projektowane i dozorowane przy wykonaniu przez Z. Czaszniczkę i K. Dydyńską, rozstraszają cały zasób możliwości w zakresie techniki tkackiej i doborze barw, jak również makaty (Karpińska), narzuty (Plutyńska), kotary (Kintopf). Wśród kilimów wyróżnia się kilim Dydyńskiej z partjami wykonanymi techniką dywanu strzyżonego. Uzupełnienie całości wnętrza stanowią drobniaki i lampy metalowe Grunwalda oraz lampy, wazon i patery ceramiczne.

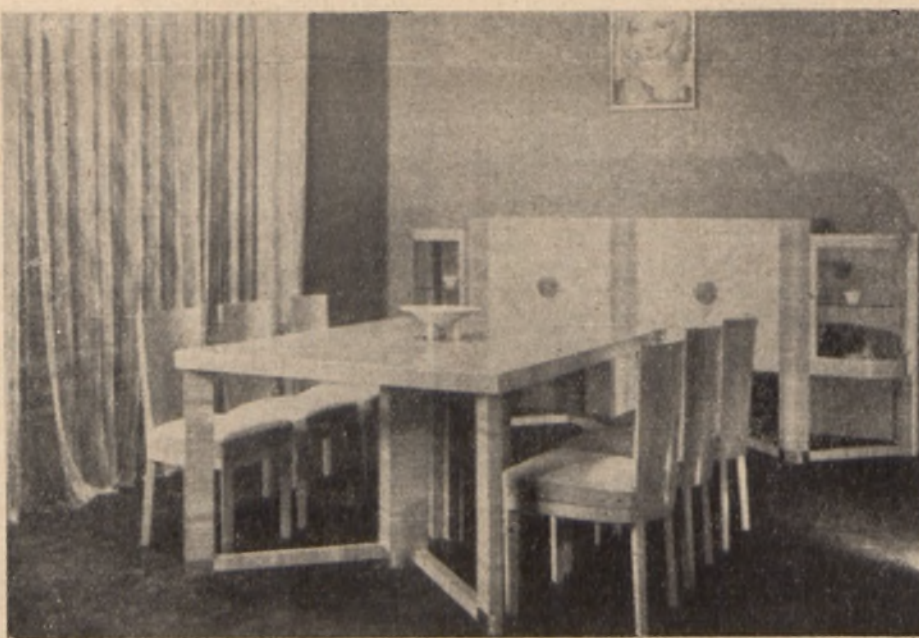
Ważny społecznie odcinek pracy artystycznej, hafciarstwo, prowadzony jest przez spółdzielnię *Inicjatywę* w Warszawie pod kierownictwem artystycznym Marji Bujakowej, oraz w pracowniach absolwentek szkół zawodowych we Lwowie, Krakowie i Częstochowie.

Hafty przeznaczone do kościołów, zasłony wypełnione pismem, ornaty (wystawiony piękny lniany komplet dla statku „Batory”), sztandary i t. p. są wykonane na zasadzie projektów artystek (członkini *Ładu*) przez uczennice, które, pracując niekiedy bez rysunku, mają często możliwość samodzielnego doboru ściągów i kolorów. We wszystkich działach twórczości *Ładu* występuje doskonałe techniczne postawienie rzemiosła artystycznego.

Zastrzeżenia, które odnośnie do mebli nasunęła wystawa *Ładu*, wywołać mogą replikę artystów, wyrażającą się zdaniem, że krytyka sama nie wie, czego chce; dawniej zarzucała prostotę i chłopekłość, teraz luksus i falistość linii. Trzeba tu wyjaśnić, mając dobro tej tak zasłużonej placówki na celu, że, odpowiadając zapotrzebowaniu, jakie w kierunku mebli reprezentacyjnych istnieje, nie można podążać po malej linii opinii, schlebiać gustowi często anohitystycznemu i zatracać swą własną artystyczną linię.

Zaufanie i duże dotychczas zainteresowanie społeczeństwa twórczością *Ładu* bardzo obowiązuje i tego nie wolno zapominąć.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA



M. BIELSKA — H. KARPINSKA

Jadalnia



CZ. KNOTHE

Gabinet

WSPOMNIENIE O PRYSIECKIM

Gdy niżej podpisany kilkanaście lat temu rozpoczął pisać recenzje o wierszach, zdarzyło się tak, iż pewna entuzjastyczna i napastliwa dama z prowincji w liście do redakcji *Wiadomości Literackich* zgłosiła sprzeciw kategoryczny; jakiś sąd wydał się jej zbyt pochopny i skorzystała zarazem ze sposobności, by zaprotestować przeciw cytowaniu nazwisk, nikomu nieznanym; a do tych nazwisk całkowicie anonimowych zaliczyła przedewszystkiem Feliksa Przysieckiego. Taki był podówczas głos przeciętnej opinii, uważanej naogół za zdrową, i obawiać się wolno, iż po dziś dzień nie uległ on korekcie. Mgła zapomnienia, co więcej, osnuła Przysieckiego tak szczerlnie, iż twórca *Śpiewu w ciemnościach* jest dla pokolenia najmłodszego błyskiem zaledwie, skrajnie przelotną, która wypaliła się ongi. Szczupły tomik jego, jedyna puścizna, jest obecnie nie do odzyskania; drukowany w r. 1921 — w owych przedziwnych latach, kiedy to, po zerwaniu tam, poezja płynąca zaczęła jak wzburzona wiosennie rzeka — uległ nie rozchwytaniu chyba, lecz zatraceniu. I ze smutkiem myślimy dzisiaj o tem, iż poezja podówczas była najwidoczniej chlebem powszednim, kiedy zbiór „nieznanego nikomu autora“ bito w hojnej ilości... 2000 egzemplarzy. Dziś poezję przemieniono na wiersze, rymami prześciano rynek, wielością przytępiono wrażliwość, reklamą przysłuszono wartość; ambicja niedouczeniów wygórowała ponad kulturę; a Przysiecki, jeden z najbardziej autentycznych poetów swej generacji, pozahwiony był całkowicie ambicji.

Po wydaniu szczupłego zbioru, następnie, przytroczony do pracy dziennikarskiej, którą spełniał z nienagannie bezstronną rzetelnością, tu i ówdzie drukował wiersze, niewątpliwie zachowane od zatykania ręką przyjaciół. Spotykane niezmiernie rzadko, sprawiał wrażenie skończonej dojrzałości artystycznej, ugruntowanej pełnią duchową; tajemnicze zagadnienie chrześcijańskiej dobroci, które osłodził m ale ostatnie chwile poety, zwolna umierającego na gruźlicę, tę chorobę liryków, coraz głębszy znajdowało ton. *Śpiew w ciemnościach*, jest to jakby szkarłatna smuga w mroku, cienki strumień krwi z warg, zaledwie odchylnych, smutna skra nieprzejednanego oręza, cienka linia widmowa, raz na zawsze odgraniczająca minioną młodość. Lecz jest to zarazem coś więcej; zdumiewać nas nie przestaje po latach p e l n i a t o n u, jaką bierze od pierwszych strof ten wychylony z milczenia poeta. Stwarza odrazu, jakby bez wysiłku, zdania, które trwają echem w najdalszym pobrzmieniu, te zdania, które wystarczy zacytować przygodnie, by znaleźć błysk porozumienia w oczach kogoś, kto się n e g d y s n i e m i w z r u s z y ł. Przysiecki bowiem, którego wielkodusznej nonszalancji dany był dar definitywnych formuł lirycznych, uderza raz po raz w sam ośrodek uczuć, *in medias res* materji poetyckiej, tak dobitnie, a razem spontanicznie, jak nikt przed nim w nowszej poezji polskiej, i niemal nikt po nim. Młodszy od Leopolda Staffa, tego *primus inter pares* przedwojennej liryki polskiej, niemal jego rówieśny, dysputujący i pijący wespół z Wemelą, Irzykowskim, Kasprówicem w rzewnym Lwowie c. i k. namiestnictwa, wyniósł z kresowego grodu batiarskiej piosenki śliczny i melancholijny uśmiech drwiny nad samym sobą, który poetom zastępuje pokorę. Instynktownie, on, najstarszy z pośród liryków, którzy triumfalnie najechali Polskę, wylamaną na niepodległość, zarzucił patos alegorii, poszum symbolu, szczerdła literatury złożył do rekwiizytorni. Uderzył w ton powzedniości, p o w s z e d n i o s c i p o l s k i e g o i n t e l i g e n t a, który, jeśli miał sunienie, musiał być podówczas bezdomnikiem, wziął w czułą opiekę realizm szczegó-

łów, zwyczajny i bardzo przejmujący, ów realizm: lampy, okna, cykającego zegara, zaniedbanego guzika u pałta, biletu na drzwiach poczernełego, słowem, realizm *intérieureu*, który dla liryka jest przeciw — wnętrzem duszy. Bardzo uczłowiczył słowo poezji, poufnie zbliżył do codzienności, która była codziennością cyganerii, i przez to właśnie wyniósł ją ku prawdziwej fantastyczności, jak to uczynił w tym samym czasie Jean Pellerin we Francji i szereg poetów, którym patronował (Derème, Carco i inni). I tak jak tamci, zlekka, ironicznie, bardzo powściągliwie wykrzywił wargi, by zataić grymas bólu, by go zamaskować wstydlivością.

To był ów niezafalszowany patos inteligenta, graniczący niemal z kiczem, a niekiedy ku niemu się przechylający, jak się to działo w *Cyrano de Bergerac* Rostanda, owej dziecinnej ewangelji pokolenia, poprzedzającego wielką wojnę. Lecz u Przysieckiego ta wspaniała opiewana „kapelusza kryza polamana“, ów „zdarty krawat“, który niezawodnie winien był być fontaziem, „but wykrzywiony“ i „wytarty surdut“, — były jakby znakiem godności, tarczą herbową tych, których przezywano pogardliwie „peleryniarzami“, ostatnim wydzwiekiem romantycznej dumy generacji, uznanej za straceńców. Dajcie pióropusz Przysieckiemu, a w blasku ulicznych latarni, jak w świetle scenicznej rampy, ukaże się w płaszczu żalobnym hidalgia!

„Majestat smutny, co niby czarna perła zagadkowo błyska...“: w wszystkich innych byłby to rekwiizyt epigonów, odkurzony z lamusa, przypominający *Czarny szal* Syromkli i poprzez niego puszkowskie ballady. Tu jest autentyczny, gdyż Przysiecki posiada odwagę kostjumu, w takim przebraniu jest najprawdziwszy; choć wydać się to może paradoksalne, właśnie kostjum ów jest gwarancją szczerości. Przebranie było dlań nieodzowne; jakby w odlewie gipsowym, w nim jednym odbijała się skryta, cierpiąca, wewnętrzna twarz. Czarujące niedbałtwa, zalamanie rytmiczne, postrzępione, wpułurwane zdania, nie szkodziły jędrnej trafności wyrazu, nie zakłócały celności ekspresji. Te poezje naprawdę regulował oddech, bicie krwi, co tłuże niespokojnie, szarpący skurcz serca, jak złowróżbne schorzenie arytmji. Przebrana ta poezja nawskroś była naturalna. Powraca w niej ciągle, wraca

bezuatannie leitmotiv nocy, drzew wilgotnych, co „szumią ogromnie“, wiosennego wiatru, wzywającego do włóczęgi, czarnego lustra, szpady, świecy, rozpacz, rozkoszy i snu — wszystkie motywy opuszczenia i samotności — motywy ucieczki w niepojęty przestwór, w pokusę oszolenia, w dur, przygodę, klęskę i zachwycenie. Przysiecki bowiem był w samej rzeczy poetą nawiedzonym, czarnoksięsko spętany, ironicznym desperatem, zakochany w zakłęczach, zanurzony w magji. Dlatego tak mało dbał o swój los, tak zupełnie nie dbał o swe arcydzieła.

Z tego zrodziła się fantomatyczność „godzin, które straciły związek z całością istnienia“, febrycznych godzin poezji. Bodaż nigdy w poezji polskiej d o s o b n i e n i e i n t e l i g e n t a nie znalazło tak wstrząsającego wyrazu; przeto poeta nie przestaje rekonstruować siebie, zatraconego, zbiera najlichsze, w proch się sypiące, dokumenty mijającego bytu, „rupiecie“ wzdiera grabieży czasu, by jakoś udowodnić sobie, by przecie się przekonać, że — istniał. We wszystkich lustrach, choćby niemi były lśniące po deszczu asfalty miasta, doszukuje się ze zgrozą, goryczą i zachwytem, „zapomnianej historii własnego istnienia“, i ten czynnik jest czemś nawskroś nowoczesnym w psychice Przysieckiego, stanowi o tem, iż wolno go zaliczyć pomimo uroczej staro-wieczny formy do poetów całkowicie współczesnych, wielką bowiem sprawą artystów wieku XX jest właśnie to udowodnienie sobie poprzez rozszczerzone zwierciadło znużonej cywilizacją świadomości własnej egzystencji. Dla artystów, zatopionych w samowiedzy, środkiem ku temu, jedynym wyzwalaającym i tem głębszym w jaźń spychającym, jest twórczość; to jej tragizm, i to tragizm zamilknięcia Przysieckiego; dla mas. być może, funkcję tę spełnia sport.

Jakież rozdzierające akcenty posiada ta poezja odosobnienia i gubięcej się samowiedzy! Utajona za mgłą jakby teatralnej gazy, jest przecie nieomylnie plastyczna, a

każdy obraz jej budowany jest logiką uczucia. W drobnej tej książeczce gnieździ się mnóstwo owych wizyjnych pejzaży o skali szczupłej, lecz mistrzowsko, po malarzku, szeroką akwarelą naszkicowanych, jak obraz owego miasta z wieżora, które „niby jaskier pospiesznie wyrasta“. Zachwycające banalności, bylejakie sentymentalizm, ulegają tu pełnej rehabilitacji, podobnie jak w młodzieńczej twórczości Wierzyńskiego. Fantastyczna groteskowość, dziecinna trochę i zalosna, jak wezłki „demonizm“ w sztuce, upodobanie melancholijne w melodramatycznej intrydze, realizują się w balladach, pelgających w pół-swiecie „magnetycznego snu“, a godnych przez dreszcz, jaki budzą, nowel E. T. A. Hoffmanna. Tu jest ton tak wielkiego natchnienia, jakiego, z wyjątkiem Tuwima, nigdzie na przestrzeni tylu lat nie zdołamy stwierdzić w sposób równie dotykający i nieodparty, — jak lekarz, który pochyla się z trwogą nad bezładnym łomotem serca.

Przedziwna naiwność, jakże dramatyczna, urodzonego poety... Każdy gest był dlań cieniem nicości, zwidzeniem na kurtynie mgły, poza którą grało się widowisko wspaniałych majaków. Zapytywał, dopóki pytać nie przestał, najwidoczniej pogodzony ze światem: „Gdzie jest ojczyzna moja?... Gdzie jest to jedno, com ukochał ponad?“ Łatwo powiedzieć, że jest to zwierzałe zapytanie Hamleta, Fausta, Manfreda. Lecz umowną formułą romantyzmu lub symbolizmu niepodobna załatwić spraw wiecznych, niespokoś uporać się z kardynalnymi sprawami człowieka. Przysiecki, jak to pięknie mówi Wielé-Griffin, poszukiwał „duszy swej duszy“. Czynił tak, jak mistycy wszech czasów. Poszukiwanie to zaprowadziło go na próg śmierci, którą przyjął bez żalu, na najdalszy kraniec blasku, który nie wędnie. Zadaniem tych, którzy w klecieniu melodyjnych słów dopatrują się czegoś więcej niż kwadransu duszy, jest uczynić wszystko, by słowa te nie przebrzmiały bez oddźwięku.

STEFAN NAPIERSKI

WSPÓŁCZESNA LEGENDA MARJI STUART*

Kiedy w lutym roku 1587 Marja Stuart kładła na rozkaz Elżbiety angielskiej swą głowę pod miecz katowski, lata jej burzliwej młodości, lata tryumfów i nieszczęść, namiętności i zbrodni, zachodziły już mgłą odalenia. Dawne to były czasy, kiedy poeta Chastelard za zbyt śmiało zamiary wobec młodej królowej poszedł na plac straceń, kiedy lordowie skoczcy w porozumieniu z zazdrosnym mężem niemal w jej oczach zamordowali jej zaufanego doradcę Rizzia, a później królowa, ślepą namiętnością skuta z lordem Bothwellem, zaaprobowała plan zamordowania męża i z mordercą Bothwellem ku oburzeniu całego kraju poszła do ołtarza. Szkoci, którzy ją przed dwudziestu laty lżyli, więzili i zmusili do abdykacji, teraz protestowali ostro przeciwko targnięciu się obcej władzy na koronowaną królową Szkocji i stracenie jej uznali za cios, wymierzony ich narodowej godności. Świat katolicki, który królową angielską Elżbietę uważał za uzurpatorkę, a w Marji widział prawowitą dziedziczkę angielskiej korony i z osobą jej łączył nadzieje przywrócenia w Anglii katolicyzmu, śmierć jej odczuł niemal jako śmierć męczeńską. Przyczynił się do tego i

fanatyzm innowierczy, który odmówił skazanej katolickiej pociechy religijnej, i jej własna spokojna i pełna godności postawa wobec śmierci. Wytworzyła się więc wnet około Marji Stuart legenda. Żywoć jej zamieszczano między żywotami męczenników za wiarę. W pobożnych księgach nie wspomina no oczywiście o grzechach tej męczennicy.

W tej naiwnej formie legenda nie mogła się utrzymać, zwłaszcza że obóz przeciwny (angielski i różnowierczy) też nie zasypiał sprawy a oskarżenia swoje popierał dokumentami historycznymi. Ale reakcje uczuciowe, wywołane okolicznościami śmierci Marji Stuart, pobrzmiewają wciąż w wielu przedstawieniach jej życia. Jedni oczyszczają ją z części jej win, przecząc autentyczności pewnych dokumentów; inni usprawiedliwiają ją lub conajmniej w późniejszym jej życiu i śmierci widzą odkupienie grzechów młodości. Poezja utrwalała taki etosunek uczuciowy do tej postaci. Blask, jakim królową tę opromienili Walter Scott i Schiller, chroni ją skutecznie przed potępieniem potomnych, niż ją za życia chroniła królewska korona. Myśli się o niej powszechnie nie tylko jako o postaci historycznej, lecz jako o bohaterce tragedji.

Nuta sympatji pobrzmiewa też w książce popularnego u nas Stefana Zweiga. Jest to tem charakterystyczniejsze, że nie poszedł on drogą tych idealizatorów, co głównie nacisk położyli na drugą połowę jej życia. Szło mu o pełną biografię psychologiczną. Na podstawie źródeł różnej wartości i często z sobą sprzecznych chciał, idąc za intuicją psychologiczną, stworzyć konsekwentny obraz przejęć wewnętrznych Marji Stuart.

Uwaga jego skierowała się ku dwu najburzliwszym jej latom, w których stłoczył się szereg niezwykłych zdarzeń, mających zdecydować o jej późniejszym losie. Ten okres, od zawarcia małżeństwa z Darnleyem do stracenia z tronu, wydaje mu się jedynie ważny. Marja jest według niego kobietą, dla której jedyną formą istotnego wyzycia się jest namiętność miłosna, rozbudzona u niej późno, przedko wygasła, ale przez ten krótki czas szalejąca z niepomąganą siłą żywiołu. Takie ujęcie — trzeba lojalnie przyznać interesujące — było dla autora bardzo wygodne. Pozwalało ono po pobeźnem zreflowaniu młodości bohaterki zająć się szczegółowo tym krótkim okresem jej życia, który bogaty był w efektywne konflikty dramatyczne, i prześliznąwszy się lekko po długich latach uwięzienia w Anglii, wywołać u czytelnika nowe napięcie opowiadaniem o procesie Marji Stuart, zakończonym sceną jej śmierci, już w relacjach historycznych pełną wielkości i grozy.

Koncepcja ta nie ma nieodpartej siły przekonującej. Z tego samego materiału



K. DYDYŃSKA — J. GRZĘDZIŁSKA

Salon

możnaby z równą słuszością wywieść inną tezę, którą przypisywała rolę decydującą nie Marji, lecz związanym z nią mężczyznom. Pierwszy raz zakochała się w człowieku głupim, słabym i pyszałkowatym. Zawiodłszy się na nim, rzuciła się wnet — częste to w takich wypadkach zjawisko — w ramiona innego mężczyzny, który był tak pociągającym dla kobiet typem „mocnego człowieka”. Opanowana przez niego, dała się wciągnąć w zbrodnię. Nie brak jej bowiem było energii na krótki dystans, ale brak było wytrwałości. W zetknięciu z człowiekiem żelaznej woli okazało się, że jest charakterem słabym. W takim ujęciu zrodzona z zawiedzionej miłości nienawiść do Darnleya straciłaby swoje znaczenie pierwszorzędne, jakie jej przyznał Zweig, i przestałaby być motorem akcji.

Ale dajmy pokój komponowaniu romanów. W samym rozważaniu współdziałania Marji w zamordowaniu Darnleya — moment to w koncepcji Zweiga kluczowy — perspektywa historyczna jest skrzywiona. Czy wobec zbrodni ówczesnych panujących na Zachodzie czyn Marji był czymś zupełnie wyjątkowym? A jeżeli nie, to czy był on dla niej czymś tak wstrząsającym, jak to sobie wyobraża Zweig? Ci ludzie mieli inną moralność, inne sumienia. Życie ich było wciąż zagrożone, nieraz przez najbliższych — jakże częsta jest u nich obawa otrucia! — więc i cudze życie mało sobie ważyli. Marja Stuart wychowała się na dworze Walezyjczyków, gdzie się przed zbrodnią nie cofano. Kiedy jako żona Franciszka II zasiadała na tronie Francji, a Guizowie, wujowie jej, sprawowali rządę, otaczali oni parę królewską czujną strażą, bojąc się, by królowa-matka Katarzyna Medycejska nie postarała się o rychłe zapewnienie kochanym dzieciom szczęśliwości wiecznej. Taka była atmosfera, w której wrażliwa królowa szkoła. Wychowany w tych samych warunkach szwagier jej Karol IX urządził później noc św. Bartłomieja. Pięć lat wcześniej Marja wzięła udział w usunięciu męża. Piękny przykład miała już we własnej rodzinie: brat jej babki, Henryk VIII angielski, kazał — według wszelkich zresztą zasad prawa — zamordować swoją żonę (Annę Boleyn), wysyłając ją pod topór kata.

Książka Zweiga nie zbliża nas więc swymi koncepcjami do rzeczywistości historycznej. Jest to poprostu nowa legenda o Marji Stuart, ukształtowana według pojęć pewnych kół współczesnej inteligencji. Sposób oświetlenia znanej postaci historycznej mówi nieraz więcej o tendencjach ideowych niż grube tomy ideologicznych rozważań. Z tych właśnie względów jest *Maria Stuart* Zweiga zjawiskiem bardzo interesującym.

Zweig nie przeczy winie swej bohaterki, ale traktuje ją z tak charakterystycznym dla wielu współczesnych zrozumieniem pobudek zbrodniarza, które przechodzi niemal w abstrakcję moralną, kiedy zbrodnia ma podkład erotyczny. Marja Stuart, na rozkaz kochanka wywlekająca podstępnie chorego męża od jego rodziny i lokująca go w ustronnym domu, gdzie łatwo będzie z nim skończyć, pielęgnująca go z judaszową troskliwością i biorąca udział w zabawie dworskiej, kiedy jej męża mordują, jest dla Zweiga biedną ofiarą namiętności miłosnej. Została więc znowu męczennicą, męczennicą własnych zmysłów.

Pod względem literackim nie jest ta książka pozbawiona zalet. Są w niej partie o pewnym napięciu dramatycznym, są momenty pełne grozy. Wszystko to jednak tonie w morzu gadulstwa. Autor opowiada bardzo rozwlekłe a nadomiar wcięż wtrąca się z swymi uwagami i refleksjami, wymowę faktów zastępując rozlewną wymownością własną. Jakby to jeszcze nie wystarczyło, przypomina przy różnych okolicznościach to Szekspira, to znów tragicznych greków, zmuszając czytelnika do porównań, które nie wypadłyby korzystnie nawet dla pisarza, o kilka głów przerastającego Stefana Zweiga. Ta sama książka, skrócona do połowy, pozbawiona niepotrzebnych uwag i rozwlekłości opowiadania, mogłaby swoją skondensowaną dramatycznością robić mocne wrażenie. Tylko że autorem takiej książki musiałby być ktoś inny.

ALFRED FEI

PUBLICYSTYKA

SAMUEL STENDIG: *Polska a Palestyna w dobie obecnej*. Warszawa—Kraków, 1935.

Ta broszura wyłącznie informacyjna podkreśla swoim skromnym układem ubóstwo naszego rozumienia kwestji, która powinna w Polsce być uważana za jedno z ważniejszych zagadnień. Ubóstwo rozumienia, a nie — ubóstwo literatury o Palestynie. Literatura taka istnieje i jest przez p. Stendiga szczegółowo cytowana. Lecz narazie — jest to literatura, padająca w próżnię. Jest czytana poto, aby nazajutrz o niej zapomnieć, ma egzotyczny posmak

literatury podróźniczej, oddziaływała jedynie na wrażliwość czytelnika. Nie dociera jednak na tyle głęboko, by przekonać ogół, że kwestja emigracji żydowskiej do Palestyny powinna go interesować nietylko ze strony emocjonalnej.

Palestyna jest w tej chwili jedynie dla Polski terenem emigracyjnym, podczas gdy wszystkie inne są zamknięte, lub co gorsza — zamykają się, wyrzucając na grunt ojczysty powrotną falę emigrantów. Według danych *Rocznika statystycznego* powrót emigrantów z samej Francji w r. 1934 wyrażał się cyfrą 20,2 tysięcy, podczas gdy emigracja żydów do Palestyny wyniosła w tymże roku 12,7 tysięcy, wedle zaś źródeł żydowskich, uwzględniających przyjazdy bez świadectw emigracyjnych — 15 tys. Liczba ta — według tychże źródeł — już w pierwszym półroczu r. b. miała wzrosnąć do 13,773 osób. Jak widzimy zatem, ruch emigracyjny ludności żydowskiej do Palestyny w dużym stopniu równoważy tę falę powrotną z Zachodu, która nie przestaje nadpływać, szukając sobie miejsca w kraju, w okresie bezrobocia. Emigracja z Polski stanowi przeszło 40 proc. ogólnej imigracji żydowskiej do Palestyny. Zagadnienia więc zdolności absorpcyjnej Palestyny, utrudnień stawianych imigracji przez władze mandatowe angielskie — są kwestjami żywotnymi dla Polski, jako kraju, dostarczającego największego kontyngentu wychodźców. Czy wychodźtvo do Palestyny zdoła się utrzymać w tych rozmiarach, jakie osiągnęło w roku bieżącym, czy rozszerzą się one jeszcze więcej lub ulegną zwężeniu — są to sprawy, które winny żywo nas obchodzić. Tylko zupełna krótkowzroczność może uznawać je za kwestję wyłącznie żydowską i interesującą jedynie ogół żydowski. Z państwowego punktu widzenia muszą problemy emigracji jakiegokolwiek części ludności Rzeczypospolitej być uważane za sprawy o powszechnym znaczeniu.

Broszura p. Stendiga jest pożytecznym lecz nader skromnym przyczynkiem do kwestji, której należy się omówienie o wiele szerzej. Mimo to przeczytać ją można z pożytkiem.

J. D.

WACŁAW ŁYPACEWICZ. *Stosunki polsko-czeskie*. Warszawa 1936. Nakł. Pol. Instytutu Współpracy z Zagranicą.

Świeżo wydana broszura znanego polityka i działacza społecznego, Wacława Łypacewicza, oświetla wszechstronnie zagadnienie stosunków polsko-czeskich.

Podając w krótkim streszczeniu treść wspomnianej publikacji, zaznaczyć należy, iż celem pracy autora było wyjaśnienie istoty i głębszych przyczyn zdrażnienia w stosunkach czesko-polskich, oraz wskazanie możliwości i sposobów usunięcia tego zdrażnienia, a przynajmniej takiego jego złagodzenia, iżby nie zatruwało atmosfery politycznej wśród społeczeństwa polskiego i czeskiego i nie przeszkadzało spokojnemu współżyciu.

Badając przyczyny nieprzyjaznego stosunku Czechów względem Polski w ostatnim stuleciu, od Dobrowskiego i Palackiego do rządów Masaryka i Benesza, autor wykazuje, że historycznie nieprzyjaźń ta jest wytworem niezmiernie ciężkiego pod względem narodowym położenia Czechów. W niemal beznadziejnej sto lat temu walce o byt narodowy, ulegli „budziciele” czescy, a z nimi całe społeczeństwo czeskie, — mikrofbji, obawie małości, niezrozumiałości dla innych narodów. Dobrowsky, Kollar, Palacky starali się przezwyciężyć trapiącą ich świadomość swej małości przez poczucie, iż są członkami wielkiej wspólnoty słowiańskiej, a praktycznie krewnikami wielkiego plemienia rosyjskiego. Stąd niekrytyczny panslawizm i rusofilstwo czeskie, stąd i niekrytyczna nieprzyjaźń względem Polaków, którzy od Kościuszki do Pilsudskiego walczyli z najeźdźcą rosyjskim, mało wzruszając się tem, że najeźdźcą był „brat Słowianin”. Stąd Palacky uważał np. powstanie 63 r. za zbrodnię, a ewentualne udanie się powstania za największe nieszczęście dla Czechów.

Tej mikrofbji, a i związanej z nią nieprzyjaźnią względem Polaków, nie uniknął i prezydent Masaryk. Dławiła go także, jak sam przyznaje, „przyrodzona małość narodu czeskiego” i zastanawiał się, czy pięciomiljonowy naród czeski (w 1886 r.) może uniknąć wynarodowienia, i jako lekarstwo przeciw liczebnej małości zalecał Czechom podniesienie kultury.

Podczas wojny jednak Masaryk w celu zwalczania „narodowej małości” wszedł na drogę imperjalizmu i, jak wykazuje autor, „humanista” czeski Masaryk, zarzucając imperjalizm „nacionalistycznym” polskiemu Dmowskiemu, nie zdawał sobie sprawy, iż stał się sam imperjalistą i to bez porównania większym i bezwzględniejszym niż Dmowski.

Autor nie rozumie, w jaki sposób Masaryk mógł uchodzić w oczach niektórych Polaków za „wypróbowanego przyjaciela” Polski. Organ Masaryka *Czas* już 40 lat temu głosił hasło: „Na Śląsku z Niemcami przeciwko Polakom”. W 1908 i 1909 r. Masaryk

w rozmowach z autorem z całą szczerością oświadczył, iż jest za współpracą w Austrii z Niemcami przeciwko Polakom. Aforyzmy Masaryka, wypowiedziane w 1917 r. na wiecu w Kijowie o tem, że „bez wolnej Polski niema wolnych Czech” i że „Polacy i Czesi z rozkazu dziejów zmuszeni są do zawarcia związku obronnego na śmierć i życie”, były niestety jedynie artykułem eksportowym na użytek Polaków. Praktycznie zaś polityka Masaryka była żywym tych aforyzmych zaprzeczeniem.

Masaryk, jak twierdzi Dmowski, zwałczal za caratu niepodległość Polski, po upadku caratu zwałczal granicę Polski, w 1919 r. zezwolił na zbrojną czeską napaść na Śląsk i bronil tego kroku, w 1920 r. nietylko nie troszczył się o byt wolnej Polski, jakoby niezbędnej dla istnienia wolnych Czech, lecz uczynił wraz z Beneszem wszystko, co mógł — by w imię wspólnej granicy z Rosją pozabawić Polskę wszelkiej pomocy z Zachodu przez wstrzymanie transportów do Polski i przez namawianie Ententy, jak świadczy lord d'Abernon, żeby żadnej pomocy Polsce nie udzielała.

Po 1920 r. rządy Masaryka i Benesza walczyły przeciw przyłączeniu do Polski Galicji Wschodniej, popierały irredentę antypolską i terrorystów ukraińskich, kokietywały imperjalizmem litewskim w stosunku do Wilna, usiłowały paść stosunki polsko-francuskie i polsko-rumuńskie i przez cały ten czas prowadziły walkę eksterminacyjną z polskością na Śląsku, walkę, która w ostatnich czasach przyjęła formę niemal sadystycznego znęcania się.

Uważając ustanie tej eksterminacyjnej antypolskiej polityki za konieczny warunek normalizacji stosunków polsko-czeskich, autor omawia znaczenie ewentualnego sojuszu obronnego czesko-polskiego i wykazuje, iż pomoc czeska w razie napadu zachodniego czy wschodniego sąsiada miałaby dla Polski stosunkowo niewielkie znaczenie.

Polska musi przedewszystkiem liczyć na siebie, a następnie na sojusze z wielkimi mocarstwami i prowadzić politykę światową, a nie lokalną.

Co do przyszłości autor przewiduje, iż porozumienie polsko-czeskie nastąpi tem łatwiej, im Polska będzie silniejsza, i że w każdym razie dopiero wtedy, gdy przedwojenne pokolenie polityków czeskich, wyrosłych w atmosferze mikrofbji i płynącej z niej nieprzyjaźni do Polski, zastąpione zostanie przez pokolenie wyrosłe w wolnych Czechach.

J. Z.

PEDAGOGIKA

Sprawozdanie z działalności Towarzystwa Patronat nad Polską Młodzieżą Rzemieślniczą i Przemysłową za rok 1934 (Nakładem Towarzystwa Patronat nad Polską Młodzieżą Rzemieślniczą i Przemysłową 1935).

Mimo pokaźnych stosunkowo rozmiarów — 120 stron druku — sprawozdanie powyższe nie daje właściwie czytelnikowi tego, czego zapewne szukaliby przedewszystkiem przy jego lekturze, a mianowicie wejścia w istotną działalność Towarzystwa, cele, którym służy oraz organizację toku pracy. Nie można wprawdzie żądać od kierownictwa Patronatu, żeby przy każdorocznym sprawozdaniu klarowało obszernie podstawowe założenia instytucji, niemniej jednak moglibyśmy może oczekiwać pewnych uwag na temat, czy warunki pracy Patronatu kształtowały się w danym roku pomyślnie, czy wprowadzono jakieś innowacje, zmieniono metodę opieki nad młodzieżą i jej badań, rozszerzono czy też zwężono teren działania, czy frekwencja młodzieży, korzystającej z instytucji zwiększyła się w roku obecnym w porównaniu z poprzednimi, jakie są zamierzenia Patronatu na przyszłość i t. p. Otóż pod tym względem sprawozdanie niczego prawie istotnego nie przynosi. Nie wiemy, jaka jest ilość pracowników Instytutu Psychotechnicznego, związanego z Patronatem, o którym to Instytucji w sprawozdaniu głównie jest mowa, nie wiemy zupełnie, jakimi funduszami i z jakiego pochodzącego źródła dysponował Patronat i na jakie cele je zużył.

Cóż zatem stanowi treść sprawozdania? Dr. Stanisław Makowski zdaje króciutko sprawę z badań lekarskich Instytutu w r. 1934, a dr. Maleszewska z badań lekarskich nad młodocianymi, wobec czego domyślać się można, że sprawozdanie dr. Makowskiego odnosi się raczej do badanych starszych, o ile nie obejmuje wszystkich badanych w ogóle, czego jednak napewno rozstrzygnąć nie można. Dr. Makowski dołącza do swego sprawozdania krótkie ale dość ciekawe uwagi na temat wypadków samochodowych w województwie warszawskim za dwa ubiegłe lata. Dr. J. Zawirska daje bardzo króciutkie liczbowe zestawienie odnoszące się do Poradni Zawodowej Patronatu (czytelnik nie dostrzega, że jest to sprawozdanie, w jakim sto-

sunku pozostają do siebie Poradnia i Instytut Psychotechniczny). Skoro mamy w ten sposób pewne dane, odnoszące się do działalności lekarzy Poradni za rok ubiegły, to brak zupełnie danych o badaniach psychotechnicznych. Nie wiemy zupełnie jaką ilość młodzieży zbadano, jakimi metodami i jak uzyskano rezultaty badań: czy udzielałno jakichś porad, czy skierowano do jakichś zawodów, czy też do szkół zawodowych i t. p. Nie znaczy to, jakoby psychotechnik Instytutu nie dochodził w sprawozdaniu zupełnie do głosu. Owszem, jego wywody wypełniają prawie całe sprawozdanie (107 stron druku na 120 str. całości) ale psycholog-psychotechnik dr. Piotr Macewicz nie zdaje sprawy z przebiegu całości badań psychotechnicznych za rok ubiegły, lecz ogłasza monografię *O badaniu pamięci* opartą częściowo na materiale eksperymentalnym, zebranym w Instytucie w przeciągu kilku lat.

W ten sposób zatem rozprawa p. Macewicza wysuwa się w sprawozdaniu na plan pierwszy. Jaka jest jej wartość? Jak już zaznaczyłem, jest to rodzaj monografii o pamięci, usiłującej ogarnąć w pewien sposób całość przedmiotu. Autor mówi nietylko o badaniach, które sam przeprowadzał, lecz zajmuje się pamięcią „wogóle”, usiłuje ją zdefiniować, wspomina różne teorie pamięci, jej anatomiczne i fizjologiczne podstawy, metody badań, mówi o mnemotechnice, o ekonomji i technice pamięci, i nawet o „ogólnych zasadach higieny pracy umysłowej”. Podaje też bibliografię przedmiotu, obejmującą 10 str. druku. W napisanie swej monografii włożył p. Macewicz niewątpliwie dużo rzetelnego trudu. Praca jego zasługuje na uwagę z tego jeszcze względu, iż w literaturze polskiej brak było dotychczas oryginalnych monografij tego tematu, teoretycznej i praktycznej doniosłości. Rozprawa p. Macewicza nie jest jednak pozbawiona pewnych wad, które obniżają jej wartość, nawet gdybyśmy przyjęli, iż przeznaczona ona jest nie tyle dla specjalistów, ile raczej dla szerszego ogółu czytelników. Jedną z mniejszych wad wydaje mi się samo określenie pamięci. Według autora „fakt, że po pewnym okresie niećwiczenia jakichś nawyków zawodowych funkcja nie wygasa, lecz trwa jako część organizacji danego indywiduum... może być objęty ogólnym terminem p a m i ę ć” (str. 6). Jest to oczywiście definicja zbyt wąska. Otóż autor omawia wprawdzie później inne formy działania pamięci, nie podaje jednak nigdzie definicji, która by obejmowała wszelkie przejawy pamięci.

Ważniejszym wydaje mi się inny błąd. Autor udziela swoim czytelnikom także pewnych praktycznych wskazówek i radzi im, ażeby, skoro pamięć ich znacznie słabnąc, ćwiczyli ją. Twierdzi przytem, iż materiał użyty przy ćwiczeniu jest „naogół obojętny” (str. 84). Autor doradza zwłaszcza wyuczanie się napamięć utworów poetyckich, przez co nietylko polepszy się pamięć lecz zarazem zapobiegnie zubożeniu życia duchowego (str. 85 i 86). Autor powołuje się tutaj na wyniki badań Wincha. Otóż autor zapomina o tem, iż teza o obojętności materiału, na którym ćwiczy się pamięć, jest w współczesnej literaturze psychologicznej bardzo sporną i że wielu psychologów amerykańskich odrzuca ją jako całkowicie fałszywą. Twierdzą oni, iż każde ćwiczenie pamięci jest skuteczne jedynie w odniesieniu do tego rodzaju materiału, na którym się dokonuje, ewentualnie do materiału pokrewnego. Natomiast w odniesieniu do materiału odmiennego efekt ćwiczenia bywa nawet ujemny. Ćwiczenie się w zapamiętywaniu tekstów może dać np. jako skutek osłabienie zdolności zapamiętywania liczb. Zagadnienie wymaga dalszej dyskusji, w każdym razie jest wobec współczesnego stanu wiedzy rzeczą ryzykowną zalecać uczenie się wierszy jako generalny środek na wzmocnienie pamięci.

STEFAN BAŁEY

*

A. LECHICKA i M. UKLEJSKA: *Szkola w życiu codziennym*. Spostrzeżenia i refleksje. Warszawa 1935. Nakładem „Naszej Księgarni”, Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Ważną jest rzeczą, by w chwili, gdy literatura pedagogiczna wzbogaca się z rokami, miesięcznym każdym w nowe prace, nauczyciel, który nie jest w stanie zapoznać się ze wszystkimi nowymi wydaniami, nie przeoczył dzieł istotnie ważnych, które mogą stanowić podstawę dla jego pracy, bądź też wnieść świeże technienie do jego nawet (długoletniego) doświadczenia. Do takich książek zaliczyć należy pracę Lechickiej i Uklejskiej *Szkola w życiu codziennym*.

Autorki, mając za sobą doświadczenie pedagogiczne, obserwując codzienne życie szkoły, omawiają w sposób ciekawy szereg bardzo ważnych zagadnień związanych z dzisiejszą szkołą. W I-jej części dają obraz prób i dążeń szkolnictwa Polski Odrodzonej do dnia dzisiejszego: Dziś—gdy szkoła nietylko uczy lecz i wychowuje, gdy obowiązkiem jej jest przygotowanie obywateli gotowych i pragnących służyć Państwu w bliższym, stawiających interes Państwa przed swoim osobistym—dłżyć należy do tego, by umiejętnie wydobyc i celowo wyzyskać wszelkie możliwości i formy pracy szkolnej. Jednym ze środków będą metody dydaktyczne, które też z kolei autorki omawiają; co do wyboru metod—mu-

decydowały o konieczności rozbudowy nowej sieci autostradowej, której koszt obliczone zostały na 20 miliardów franków. Autorka dodaje: „Sprawa rozbudowy dróg w Polsce jest zagadnieniem, które Niemcy śledzą bardzo skrupulatnie. R. Rühling w rozprawie „Eisenbahngeographie Polens“... krytykuje północno-południowy, a więc równoległy do granicy polsko-niemieckiej kierunek nowych dróg żelaznych polskich... Czy też w imię pokoju?... Pasaż w przemówieniu sejmowym pos. Miedzianki, że za wiele środków materialnych wkładamy w rozwiązanie zagadnienia drożności — nie znajdziemy uzasadnienia w zetknięciu z wymaganiem realnej polityki“ (Nowe Czasy, nr. 3).

CZY NIEZNANE POEZJE MICKIEWICZA? W spuściźnie rękopiśmiennej po Stanisławie Jachowiczu odnalazł Jan Muszkowski zeszyt z napisem: *Pierwotne poezje Adama Mickiewicza*... Autor nie rozstrzyga, czy znalezione utwory są w istocie pióra Mickiewicza. Tytuły utworów: *Czas, Burza, Śmierć zbrodniarza, Pożegnania, Sen rozpaczającego, Dwa ptaszki, Kot stary i myszka, Sznurek* (Wiad. Lit. nr. 8). W następnym już (9) numerze *Wiad. Lit.* Tadeusz Zelenki (Boy) ustalił autorstwo jednego z tych wierszy (*Śmierć zbrodniarza*). Autorem jest Antoni Gorecki. Potem (nr. 10 *Wiad. Lit.*) M. Danilewiczowska wskazała autorstwo *Pożegnania* (J. U. Niemcewicz — przekład z *Byrona*) i *Dwóch ptaszków* (Antoni Gorecki), a Jan Michalski wykrył, że autorem *Snu rozpaczającego* jest Michał Wyszczkowski. Oczywiście autorzy czterech pozostałych wierszy znajdują się niebawem. Całe „odkrycie“ okazało się niedocieczonym kaprysem autora bajeczki o Adelci (jeżeli

to rzeczywiście on położył fałszywy napis na tym albumiku przepisanych wierszy).

W. BAK

KRONIKA

W związku z olimpijskimi igrzyskami zimowymi w Garmisch-Partenkirchen zainteresowanie sportem wzrosło w wysokim stopniu zarówno w społeczeństwie jak i wśród czynników kompetentnych. Prasa przynosi codziennie szereg interesujących i wyczerpujących informacji o polskich i obcych olimpijczykach, władze P. W. i W. F. zorganizowały kilka obozów treningowych dla członków ekspedycji olimpijskiej, tworzyło się specjalne fundusze na wysłanie zawodników celem przeprowadzenia treningu i t. p. Właśnie w związku z tym specjalnymi obozami treningowymi dla sportowców polskich Rafał Malczewski poruszył na łamach *Gazety Polskiej* bardzo istotną i wielokrotnie omawianą sprawę, która interesować powinna jaknajszersze warstwy społeczeństwa. Chodzi tu o niespójność w traktowaniu asów sportowych i przedstawicieli kultury i sztuki. Rokujący pewne nadzieje zawodnik otoczony jest stale czułą opieką lekarzy, trenerów i masażystów, zaspakaja się wszystkie wymagania jego organizmu, stwarza mu się najlepsze, najbardziej sprzyjające warunki dla osiągnięcia maximum sprawności fizycznej. Młody artysta czy literat, rokujący równie świetne nadzieje na polu kultury i sztuki polskiej, pozostawiony jest swemu własnemu losowi. W wypadku wyjątkowym otrzymuje stypendjum z Funduszu Kultury Narodowej, które wystarcza

niekiedy za ledwie na opłacenie mieszkania i na drobne wydatki.

W powyższym zestawieniu nie chodzi naturalnie o jakiegokolwiek zwalczanie sportu. Wiemy dobrze, jak wielkie znaczenie propagandowe posiada sport zagranicą i ile zawdzięczamy wspaniałym zwycięstwom Wasiliewiczówny, Kusocińskiego, Kucharskiego i Vereya. Bardzo dobrze, że sportowców naszych możemy otoczyć odpowiednią opieką. Razi nas tylko niewspójność w traktowaniu benjaminków dwóch różnych kultur: fizycznej i umysłowej. Głodujący malarz i literat, gdyby znalazł się w odpowiednich warunkach higienicznych i zdrowotnych, gdyby mógł od czasu do czasu wyjechać na miesiąc zagranicę — mógłby dać ze siebie daleko więcej niż daje w warunkach zwykłych. Wiemy dobrze, że nie stać nas na finansowanie eksperymentów. A przecież każde apriorystyczne premjowanie przyszłych championów i asów jest właściwie kosztownym i nie zawsze celowym eksperymentem. Doskonale, na przykład, widzieliśmy, że hokeiści polscy nie zdobędą punktowanej lokaty w turnieju olimpijskim. Dlatego właśnie razi nas zbytne premjowanie gwiazd sportowych, szczególnie dziwne i paradoksalne w porównaniu z sytuacją życiową młodych artystów i pisarzy. Nie zwalczamy „Olimpia-girls“ (tak nazwał swój artykuł Rafał Malczewski). Chcemy tylko, żeby obok nich znalazło się miejsce dla „Ars-girls“. A jeśli nie stać nas na ten nowy i nieprzewidziany wydatek, to może udałoby się uzyskać pewne fundusze z minimalnego ograniczenia subwencji na cele sportowe. Takie ograniczenie mogłoby się okazać bardzo celowe w swoich skutkach.

A. CZYZEWSKI

KOMUNIKAT

Kuratorjum Finansowe Akademii Górniczej w Krakowie ogłosiło swego czasu z inicjatywy p. Prezesa Dyr. Inż. hr. W. Sągajły „Konkurs na pieśni górnicze i hutnicze“, mający na celu otrzymanie oryginalnych polskich pieśni, które mogłyby wyrugować używane dzisiaj pieśni obce. Na zaproszenie Kuratorjum Finansowego objął przewodnictwo Sądu Konkursowego K. H. Rostworowski. W skład jury części literackiej Konkursu (teksty pieśni) weszli: p. Marja Jasnorzewska, hr. L. H. Morstin, prof. dr. St. Pigoń, dyr. inż. J. Naturski, prof. inż. Z. Bielski i prof. dr. W. Goetel, sekretarz generalny konkursu.

Na ogłoszony w dziennikach i czasopiśmie Konkurs nadesłano liczny materiał tekstów pieśni, który był przedmiotem szczegółowego rozpatrzenia przez członków jury. Na ostatecznym posiedzeniu jury w dniu 7 stycznia 1936 r., uznano, że nadesłany materiał nie nadaje się do udzielenia przewidzianej maksymalnej ilości 10 nagród i udzieleno jednomyślnie 8 nagród po 250 zł za następujące utwory pod godłami:

Nr. 155316 — „Przy kieliszku“, *Kościółec* — „Pieśń do św. Barbary“, *Kwiat pałacu* — „Hymn hutniczy“, *Węgiel i żelazo* — „Hasło górnicze“, *Serce ziemi* — „Wybuch w kopalni“, *Ignis fervens* — „Pieśń o Śląsku“, *Leć, piosenko* — „Pojedź mój węgiel“, *Los* — „Czy znasz ten kraj?“

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami nagrodzonych powyższych utworów są następujący poeci: Konstanty Cwirko-Godycki, Sosnowiec, Józef Aleksander Galuszka, Kraków, Marian Skalecki, Kraków, Walerja Szalay-Groele, Poznań, oraz Marja Czeska-Maczyńska, Żywiec.



R Z E C Z P O S P O L I T A P O L S K A

MINISTERSTWO SKARBU

Ministerstwo Skarbu podaje niniejszem do wiadomości, że na mocy dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 14 stycznia 1936 r. o konwersji państwowych pożyczek wewnętrznych (Dz. U. R. P. Nr. 3, poz. 10) oraz rozporządzenia Ministra Skarbu z dnia 17 lutego 1936 r. (Dz. U. R. P. Nr. 12, poz. 114) przeprowadzona zostaje konwersja niżej wymienionych pożyczek państwowych na wypuszczoną na mocy powołanego dekretu 4% Pożyczkę Konsolidacyjną przy zachowaniu niżej podanych warunków.

I. Do konwersji przyjmowane będą obligacje następujących pożyczek państwowych:

- 1) 5% państwowej renty ziemskiej serji I z kuponem, płatnym 1 czerwca 1936 r.;
- 2) 5½% pożyczki budowlanej serji II z kuponem, płatnym 15 września 1936 r.;
- 3) 5% państwowej renty wieczystej serji I z kuponem płatnym 15 grudnia 1936 r.;
- 4) 4% premjowej pożyczki inwestycyjnej, 3% premjowej pożyczki budowlanej serji I i 6% pożyczki inwestycyjnej — bez żadnych kuponów.

Poza tem będą przyjmowane do konwersji obligacje 6% Pożyczki Narodowej ze wszystkimi płatniami po dniu 15 stycznia 1936 r. kuponami (poczynając od kuponu, płatnego 1 lipca 1936 r.), lecz tylko od pierwonaabywców tych obligacji oraz osób, które otrzymały te obligacje na zasadzie przelewu w myśl obowiązujących przepisów o obrocie obligacjami tej pożyczki.

Obligacje 6% Pożyczki Narodowej bez kuponu, płatnego 1 lipca 1936 r., lecz ze wszystkimi kuponami dalszemi, oraz obligacje 5% państwowej renty ziemskiej serji I bez kuponu, płatnego 1 czerwca 1936 r., będą również przyjęte do konwersji z tem jednak, że z tytułu konwersji zostaną za nie wydane obligacje 4% Pożyczki Konsolidacyjnej bez pierwszych 2-ch kuponów, płatnych 15 lipca i 15 listopada 1936 r.

Obligacje pożyczek złożonych do konwersji podlegają wymianie na obligacje 4% Pożyczki Konsolidacyjnej w stosunku 100 za 100 wartości imiennej.

Konwersja rozpocznie się z dniem 15 lipca 1936 r. i trwać będzie 10 miesięcy, t. j. do dnia 15 maja 1937 r.

Konwersję przeprowadzą będą: kasy urzędów skarbowych, Bank Polski, Bank Gospodarstwa Krajowego, Poczta Kasa Oszczędności, Państwowy Bank Rolny i ich oddziały oraz inne upoważnione do tego przez Ministra Skarbu placówki, których lista zostanie podana do wiadomości publicznej.

Obligacje pożyczek, wymienionych w punktach 1 — 4, przestają być z dniem 15 stycznia 1936 r. umarzane według dotychczasowych planów i przynosić odsetki oraz wygrane (premje) poza odsetkami przypadającymi za ostatni kupon, którego bieg rozpoczął się przed dniem 15 stycznia 1936 r. Kupony, których bieg rozpoczyna się po dniu 15 stycznia 1936 r. są nieważne. Obligacje te niezłożone do konwersji w przepisany terminie podlegają umorzeniu według ich wartości imiennej najpóźniej w ciągu lat 30 drogą losowania podług planu umorzenia ustanowionego dla każdej z tych pożyczek rozporządzeniem Ministra Skarbu.

II. 4% Pożyczkę Konsolidacyjną wypuszcza się z dniem 15 maja 1936 r. na łączną kwotę imienną 600.000.000 złotych w zlocie w obligacjach na okaziciela po 50, 100, 500, 1000, 5000 i 10.000 złotych w zlocie.

Oprocentowanie stałe pożyczki wynosi 4 od 100 w stosunku rocznym. Odsetki płatne są za zwrotem odpowiednich kuponów półrocznie zdolu w dniach 15 maja i 15 listopada z wyjątkiem odsetek przypadających za pierwsze dwa kupony, z których kupon pierwszy obejmie odsetki od dnia 15 stycznia 1936 r. i płatny będzie 15 lipca 1936 r., zaś kupon drugi obejmie odsetki za dalszy okres czteromiesięczny i płatny będzie 15 listopada 1936 roku.

Pożyczka podlega opłaceniu do dnia 15 maja 1937 r. drogą dwukrotnego w każdym roku trwania pożyczki, poczynając od dnia 15 listopada 1937 r., umarzania części obligacji wylosowywanych w tym celu w dniach 15 maja i 15 listopada podług ustalonego planu umorzenia.

Obligacje pożyczki, wylosowane do umorzenia w ciągu pierwszych 10 lat jej trwania, podlegają wykupowi z nadpłatą 20%, zaś wylosowane w latach następnych — z nadpłatą 15% ponad ich wartość imienną.

Obligacje pożyczki mają wszelkie prawa papierów pupilarnych. Obligacje pożyczki wraz z kuponami oraz przychody od tych obligacji i kuponów wolne są od wszelkich podatków i danin państwowych i samorządowych.

Obligacje pożyczki w kwocie, nieprzekraczającej 5.000 złotych w zlocie wartości imiennej, oraz kupony od tych obligacji nie polegają żadnemu zajęciu, nie wyłączając zajęcia z tytułu należności publiczno-prawnych.

Obligacje pożyczki będą przyjmowane według ich wartości imiennej na podatek od spadków i darowizn do kwoty 25.000 złotych w zlocie od każdego płatnika tego podatku.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. zł. 1.80; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI